

✓  
„ORZEŁ BIAŁY“  
(White Eagle)  
(L'Aigle Blanc)

Octobre 1969

Price 3/6

Cena 3/6  
\$ 0.50; 2.50 F.



B.D.I.C

# SYRENA

ORZEŁ BIAŁY

PAŹDZIERNIK

1969

Nr 63/1210

*Polska walcząca o wolność*

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

TU NA MONTE CASSINO  
W 25-Ą ROCZNICĘ BITWY  
MŁODZIEŻ POLSKA  
PRZEJĘŁA SZTANDARY  
WALCZĄCEGO O WOLNOŚĆ NARODU.



FP 2156

Gryf Publications Ltd

STEFAN KORBOŃSKI

## MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

15 opowiadań, których tłem jest druga wojna światowa. Niezwykłe czasy, niezwykli ludzie nadają tej książce niezwykły koloryt i czynią z niej niezapomnianą lekturę.

Cena: 12 sh., 2.50 dol.

Skład Główny: KSIĘGARNIA S.P.K.,  
20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

### W NUMERZE :

Zmysł życia zrzeszonego	1
Starzy i młodzi na Monte Cassino	2
J. Drobnik: Czy przeszłość umarła już naprawdę?	4
K. Ostrowski: Wpatrując się się w globus...	6
A. Wileczyńska: Co mam powiedzieć Dzidzi?	9
F. Ch.: Kalejdoskop włoski	12
T. Affeltowicz: Wolność przynieśli żołnierze Pattona	13
K. Brzozowska: W nowogródzkiej stronie (IV)	14
F. Goldschlag: Saga o dobroczyńcy wdzięcznej ludzkości	16
S. Lubodziecki: Nowy reżymowy kodeks karny	18
J. Surynowa-Wyczółkowska: Salony i saloniki	20
E. Corti: Proces i śmierć Stalina	22
K. Brzozowska: Syn o matce	25
W. Günther: Pozytywny romantyk	27
W. Netter: Mistrz ceremonii dworu św. Jakuba	29
K. Evans: Opowieść o matce Winstona Churchilla	30
J. Korczak: Muzyka w Europie	32
J. Żaba: Zaczarowany las i jego mieszkańcy	35
Z życia polskiego	38
Kage: Przegląd spraw wojskowych	40
J. Ostr.: Notatnik kulturalny	41

# NA POLU CHWAŁY

28 WRZEŚNIA — WIELKA IMPREZA W ROYAL ALBERT HALL W LONDYNIE KU UPAMIĘTNIENIU ROCZNIC WALK O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI

## A P E L

Komitet Obywatelski Uczczenia Pamięci Generała Broni Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza przystępuje do opracowania książki, której celem jest utrwalenie pamięci o Generale i przekazanie Jego postaci do historii.

Generał Tokarzewski-Karaszewicz należał do całego narodu, Jego zasługi obejmują całą Polskę, toteż imię Jego jest znane wszystkim Polakom i wymawiane jest przez wszystkich z najwyższą czcią.

Niestety Generał nie pozostawił po sobie w gotowej formie żadnych pamiętników, które by mogły być oddane do druku i dlatego Komitet musi uzupełnić i skompletować materiał, obejmujący zarówno życiorys Generała jak i całą Jego pracę dla sprawy polskiej.

W związku z tym, Komitet zwraca się do wszystkich osób dobrej woli, które znając Generała, są w stanie przyczynić się do rozszerzenia treści przygotowywanej książki. Pożądane są wszelkie materiały i relacje własne, dotyczące życiorysu, charakterystyki, działalności, czy wspomnień o wspólnych przeżyciach.

Redakcja uwzględni wszystkie nadesłane materiały i albo zamieści je w oryginalnym brzmieniu, albo też dostosuje do ogólnej formy, jaka będzie dla książki ustalona.

W książce będą wymienione nazwiska wszystkich osób, które przez swój udział zechcą dopomóc do jej powstania, i wzbogacenia jej treści.

Komitet prosi o przysyłanie materiałów pod adresem sekretarza Komitetu Redakcyjnego: Z. Galewska, 98, Sharp's Lane, Ruislip, Middx.

ZA KOMITET REDAKCYJNY

(—) K. Kłochowicz, plk. dypł.

### LISTY DO REDAKCJI

#### NABOŻEŃSTWO ŻYDOWSKIE NA MONTE CASSINO

Szanowny Panie Redaktorze,

Na polskim cmentarzu na Monte Cassino spoczywa wielu Żydów, żołnierzy II Korpusu.

W sprawozdaniu z uroczystości w 25-tą rocznicę tej wielkiej bitwy, zamieszczonym we wrześniowym nrze „Orła Białego“ mowa jest o obrzędach religijnych, odprawionych na cmentarzu z udziałem duchownych wyznania rzymsko-katolickiego, prawosławnego i ewangelickiego, nie ma natomiast ani słowa o obrzędzie żydowskim, który został odprawiony w godzinach rannych, zgodnie z ustalonym uprzednio liturgicznym programem uroczystości.

Przemilczenie to, choć zapewne mimowolne, ma bardzo przykrą wymowę: „Orzeł Biały“ jest organem kombatantów wszyst-

kich wyznań. Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, które w ogromnej mierze przyczyniło się do zorganizowania tego wielkiego obchodu, jest współodpowiedzialne nie tylko za jego przebieg ale i za jego opis na swych łamach. W danym wypadku to opuszczenie jest tym bardziej rażące, że o ile mi wiadomo, nabożeństwo żydowskie odprawione zostało tylko dzięki szczególnym staraniom organizatorów i na przekór przeróżnym trudnościom...

Tym spieszniej więc należy to niefortunne zamilczenie naprawić, dając tym nie tylko świadectwo staraniom organizatorów i uczynienie elementarnemu, w świecie niemocarowym, poczuciu sprawiedliwości i pamięci dla naszych towarzyszy broni Żydów, poległych dla wspólnej sprawy.

Łączę wyrazy poważania i koleżeńskie pozdrowienia

Paryż.

Władysław Żeleński

**W** ŚWIATOWEJ statystyce emigracyjnej żywiol polski ze swą 10-cio milionową rzeszą zajmuje, niewątpliwie, jedno z poczesnych miejsc. W ciągu lat opuszczaliśmy swe progi ojczyste częściowo z tych samych powodów co inne narodowości tj. dla chleba, częściowo zaś ze względów natury politycznej. Zjawisko emigracji ze względów politycznych — przymusowej czy dobrowolnej — jest stare, jak świat. Zazwyczaj jednak w grę wchodziły jednostki. Jego polskim znamieniem jest masowość. W ciągu ostatnich dwu stuleci historii europejskiej żaden kraj chyba nie dostarczył tylu zbiegów politycznych i tylu wywiezionych przymusowo, co Polacy.

Każde dłuższe przebywanie poza obrębem rodzinnego domu prowadzi nieuchronnie do powolnego, lecz stalego osłabiania więzi z pniem macierzystym. Nie ma takiej szczepionki, która by zabezpieczała skutecznie emigranta przed wpływem nowego środowiska i działaniem odmiennych warunków geograficznych, gospodarczych i kulturalnych. Pełna zatrata świadomości narodowej, choćby nawet rozłożona na kilka pokoleń, jest zawsze tylko kwestią czasu.

Mówiąc o tym, należy dodać, że wedle dosyć powszechnej opinii, u Polaków proces ten przebiega stosunkowo wolniej niż u emigrantów innych narodowości. Dodaje się przy tym, że czynnikami immunizującymi są tu religia i głęboko zakorzeniona w sercu każdego Polaka nostalgia. Mało jednak brano dotychczas pod uwagę jeszcze jeden czynnik, którego działaniem jest co najmniej tak intensywne jak obu poprzednio wspomnianych, jest nim **zmysł życia** z **zrzeszonego**, które nabrało wyrazu szczególnie po drugiej wojnie światowej. Emigracja tego okresu mogła wykazać w pełni swe zdolności w tym kierunku, gdyż jej przekrój społeczny obejmował ludzi wszelkich poziomów intelektualnych, warstw i zawodów.

Dzięki temu poza Krajem powstała Polska w miniaturze, pulsująca bogatym życiem zbiorowym, naśladującym formy organizacyjne normalnego państwa. W obrębie własnego życia organizacyjnego, Polak-emigrant oddycha więcej atmosferą rodzimą niż kraju osiedlenia, a tym samym przedłuża swą świadomość narodową.



# ORZEŁ BIAŁY

*Polska walcząca o wolność*  
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM  
WSPÓŁCZESNYM

Nr 63/1210

PAŹDZIERNIK, 1969

Rok XXIX

## Zmysł życia zrzeszonego

Jedną z organizacji, która odegrała ogromną rolę w dotychczasowej historii naszej emigracji powojennej jest Stowarzyszenie Polskich Kombatantów. Założone w W. Brytanii w roku 1946, w drodze szybkiej ekspansji rozprzestrzeniło się w całym szeregu innych krajów polskiego osiedlenia osiągając liczbę 22 sfederowanych oddziałów krajowych oraz ponad 200 kół. W jego szeregach znaleźli się byli żołnierze naszych oddziałów walczących poza Krajem, element ludzki o wysokim potencjale ideowym, dynamiczny i przedsiębiorczy.

Zakres działania SPK objął zagadnienia osiedleńcze (w początkowym okresie głównie), samopomocy, opieki społecznej, kultury i oświaty. W tych ramach zawarła się pełna treść społecznego życia polskiego na co dzień i od święta.

Czynnikiem ogromnej wagi okazało się promieniowanie ideologiczne SPK. W tej dziedzinie Stowarzyszenie przez cały czas swego istnienia nie zeszło ani na jotę ze swej drogi. Jego credo brzmi: Polska jest bezwolnym satelitą Związku sowieckiego, krajem rządzonym przez klikę zauszników moskiewskich, pozbawionym podstawowych swobód obywatelskich i praw ludzkich. Obowiązkiem emigracji jest działanie na rzecz przywrócenia Polsce prawdziwej wolności i ustroju demokratycznego.

Trzonem i filarem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów jest jego ogniwo brytyjskie. Gdyby istniała jakaś miara i waga, która pozwoliłaby określić rozmiar i ciężar czynu społecznego, okazałoby się, że organizacja ta w ciągu 23 lat swego

istnienia nagromadziła dorobek niepomierne większy od tego, co w trudnych warunkach uchodźczej egzystencji było dostępne i możliwe. Zapalem i poświęceniem setek swych najczynniejszych członków ugruntowała polskość na tych wyspach na długie lata.

Działalność SPK w W. Brytanii jest z konieczności wielokierunkowa. Najwięcej jednak uwagi poświęca sprawom kulturalnym (własna firma wydawnicza, własne pismo redagowane tak, by mogło trafić do zainteresowań nie tylko członków Stowarzyszenia, ale i ogółu czytelników polskich; własna księgarnia), oświatowo-szkolnym (42 szkoły przedmiotów ojczystych, w których pobiera naukę 2.300 dzieci), sportowi polskiemu w W. Brytanii (51 klubów sportowych skupiających setki młodzieży), dziedzinie opieki społecznej (działalność Stowarzyszenia Powierniczego, współdziałanie w administrowaniu brytyjskim funduszem zapomogowym, współdziałanie w prowadzeniu ośrodka dla osób starszych w Penrhos, pośrednictwo pracy, opieka nad uchodźcami). Stowarzyszenie ma 98 kół, z których wiele prowadzi b. intensywną pracę społeczną (zob. drukowany na innym miejscu reportaż z obchodu 20-lecia szkoły przy Kole SPK w Manchester), 27 domów i klubów.

27 i 28 września delegaci wszystkich kół będą obradować na dorocznym zjeździe w Londynie. Program zjazdu obejmuje tradycyjną część sprawozdawczą i wybór nowych władz, ale zarazem dostarczy okazji do obszernej wymiany poglądów na wszystkie żywotne zagadnienia polskiego życia poza Krajem.



# STARZY I MŁODZI



D-ca 2 Korpusu Polskiego gen. Władysław Anders i d-ca 8 Armii gen. Sir Oliver Leese po 25-u latach spotkali się na miejscu pamiętnej bitwy o Monte Cassino



„Uczta“ uroczych boginek na obozie harcerskim w Cassino



# NA MONTE CASSINO

B.D.I.C



Zespół młodzieży polskiej z Francji na dziedzińcu Castel Gandolfo w czasie audiencji u Papieża Pawła VI z okazji pielgrzymki na Monte Cassino



Pod przewodem młodego dobosza w drodze na uroczystości z okazji 25-tej rocznicy bitwy pod Monte Cassino

**W** NIEMCZECH odbywają się zawsze jeszcze procesy przeciwko uczestnikom zbrodni hitlerowskich. Ostatnio przesunięto nawet termin przedawnienia. I nie ulega wątpliwości, że niejednego zbrodniarza dosięgła już, a innych może jeszcze dosięgnie ręka sprawiedliwości.

Czy jednak wszystkich? Można na to z wszelką pewnością odpowiedzieć, że było ich zbyt wielu. Nie przeciwko każdemu zdołano i zdoła się zebrać dosyć materiału dowodowego. I zbyt wielu jest przede wszystkim takich, którzy wprawdzie osobiście nie brali udziału czynnego w zbrodniach, ale którzy o nich wiedzieli, bo musieli wiedzieć. I to zarówno ci, którzy przeżyli ten okres w samych Niemczech, jak też zwłaszcza ci, którzy w szeregach armii, administracji i w ogóle okupantów patrzyli własnymi oczyma na to, co się dzieje w zajętych krajach. A takich „wizjów“ były miliony. I chyba nikt nie uwierzy, że te miliony były ślepe. I że wracając, nikomu nic nie opowiadali.

Z tego sobie zresztą sami Niemcy zdają doskonale sprawę. Na zebraniu „Unii Humanistycznej“ we Frankfurcie nad Menem znany pisarz niemiecki Robert Neumann, mówiąc o „ucieczkach naszego sumienia“, stwierdził jasno: „Bardzo wielu ludzi wiedziało więcej, niż dzisiaj chce przyznać. Setki tysięcy ‘Wehrmacht’u’ podczas swojego urlopu domowego opowiadało o straszliwych zdarzeniach, których byli naoczniymi świadkami (sprawozdanie „Frankfurter Rundschau“ z 14.X.1965).

Nie trzeba się ludzi: Naród niemiecki wiedział, co się dzieje. I co gorzej, milcząc nie sprzeciwiał się. Oczywiście, byli tacy, którzy się z tym w duszy nie godzili, a nawet tacy, którzy się zdobyli na odwagę odmowy udziału. Ale jest rzeczą pewną, że tych, którzy się na taką odwagę zdobyli, było bardzo mało w stosunku do tych, którzy woleli milczeć — albo nawet współdziałali. A już jeżeli chodzi o zamiar podbijania narodów innych i zaborów terytorialnych, to właściwie nikt nie miał przeciwko temu. Widziano w tym nie tylko wzrost potęgi narodowej, ale również liczne możliwości koorzyci osobistych.

O tych rzeczach nie wolno zapominać. To, że dzisiaj po straszliwej

**JERZY DROBNIK**

przegranej prawie wszyscy Niemcy odzęgnują się od przeszłości, to jest, oczywiście, dobrze. Wielu czyni to nawet szczerze. Ale mimo wszystko stwierdzić należy, że takie odzęgnięcie się **dzisiaj** nie tylko nie kosztuje, ale pomaga, i jest nawet warunkiem dla kariery, i to zwłaszcza politycznej. Zupełnie tak samo, jak za czasów hitlerowskich warunkiem dla zrobienia kariery było zapisanie się do partii oraz — jeżeli nawet nie brało się osobiście udziału w zbrodniach — zamykanie na nie oczu. Nie można zapominać o tym, że dla wielu bardzo, ludzi najważniejszą rzeczą jest ich kariera i że w tych warunkach nie można polegać na tym, co w danej chwili głośzą. Dzisiaj mogą mówić tak, a jutro inaczej. Takich ludzi wśród polityków niemieckich można bez trudu odnaleźć — i to nawet na najwyższych stanowiskach. Ich słowa, oświadczenia, przyrzeczenia są bardzo mało albo nawet nie warte. Za rządów Hitlera zapisywali się do partii, wyznawali hasła „przestrzeni życiowej“ (Lebensraum), potrzebnej rzekomo Niemcom. Dzisiaj tak samo gorliwie opowiadają się za demokracją, odzęgnują się od przeszłości hitlerowskiej, milczą o własnej przeszłości. A jutro?

Rzucenie zasłony na własną przeszłość udaje się na ogół tym jednostkom, które stanowiły szarą masę i nadal w niej pozostają. Ale ci, którzy próbują — często z powodzeniem — robić nadal karierę, względnie swoją karierę uratować w nowych warunkach, nie zawsze liczą się dostatecznie z tym, że ich przeszłość wypłynie i zostanie oświetlona z chwilą, gdy wyjdą znowu na widownię. W Niemczech mamy w tym kierunku dużo przykładów. I jest nawet rzeczą przerażającą, ilu ludzi, którzy w powojennej Niemieckiej Republice Związkowej zdołali zająć wpływowe i wybitne stanowiska, spowodowało dzięki temu bardzo dla nich przykre oświetlenie swojej przeszłości — i podkopało wiarę zagranicy w istotne nawrócenie się Niemiec. I znowu rzecz ciekawa: Jeżeli ktoś pomyślał, że znając swoją przeszłość, ludzie ci usuną się sami i oszczędzą sobie i narodowi niemie-

## Czy przeszłość

kiemu kompromitującego widowiska jej ujawnienia, ten się pomylił. Ci ludzie najwyraźniej wcale nie mają poczucia, że postępowali źle albo nawet zbrodniczo. Jeżeli ustępują, to wyłącznie pod naciskiem, a jeżeli ten nacisk nie jest dość silny albo wody kompromitujące nie dosyć uderzające, o ustąpieniu nawet nie myślą. W niektórych wypadkach trzeba już było po prostu skandalu, żeby ich zmusić do ustąpienia. A niektórzy ze spokojem urzędują nadal albo pobierają wysokie emerytury — za urzędowanie w okresie hitlerowskim.

Nazwisk można by tu wymienić setki. Bierzemy z naszego archiwum wycinków pierwszy z brzegu: Oto przed kilku laty Prezydium Związku Prześladowanych przez reżim hitlerowski (bo i tacy byli, trzeba to bezstronnie przyznać) oskarżyło 34 osobistości, zajmujące stanowiska w świecie sądowym i prawniczym, że należały w okresie hitlerowskim do osławionej organizacji S.S. Oskarżenie poparte było fotokopiami dokumentów, z których wynikało, że w samej Bawarii 12 sędziów i prokuratorów, to dawni S.S-mani. W mieście Bremen prezes Najwyższego Sądu Krajowego („Oberlandesgerichtspräsident“) Karl Arndt należał do S.S. — i o tym wiedzieli zarówno Senat, jak też rząd w Bonn. Co więcej, ministrem dla wysiedleńców został swego czasu w Bonn, dawny członek partii hitlerowskiej, a w czasie wojny sędzią w Chojnicach, Hans Krüger. Spotkały go jednak tak liczne zarzuty, między innymi też wyroków śmierci, wydawanych na Polaków, że ostatecznie musiano — udzielić mu urlopu. A przypomnijmy słynnego Theodora Oberländera, również ministra dla spraw wysiedleńców, który w latach 1939-1943 był prezesem „Związku Niemieckiego Wschodu“ („Bund Deutscher Osten“). Musiał on z powodu zbyt już wyraźnie ujawnionej przeszłości wreszcie ustąpić. A dalej nazwiska takie, jak słynnego generała S. S. Heinza Reinefartha, którego rola w czasie powstania w Warszawie jest aż nazbyt znana. Nie przeszkodziła mu ona jednak w zajmowaniu po wojnie rozmaitych sta-



# umarła już naprawdę?

B.D.I.C

nowisk — posła na sejm kraju Schleswig-Holstein, burmistrza miasta Westerland itd. A szef urzędu kanclerskiego za Adenauera, dr Hans Globke, który swego czasu opracowywał narodowo-socjalistyczne ustawy rasowe! I tak dalej i tak dalej.

Oto kilka tyłków nazwisk ludzi, którzy zajmowali stanowiska w okresie rządów narod.-socjalistycznych — i grali nadal rolę w Niemieckiej Republice Związkowej. I takich ludzi jest wielu, chociaż nie o wszystkich się mówi. I czyż można się dziwić, że ludzie ci w istocie urobieni przez swoją przeszłość wnoszą jej wpływy w swoją działalność dzisiejszą, jak chociażby w sprawie granicy na Odrze i Nysie?

Fale tej przeszłości sięgają wysoko, bardzo wysoko. Nie tak dawno temu ustąpił ze stanowiska prezydenta Niemieckiej Republiki Związkowej Heinrich Lübke. Ustąpił przed przepisany termin. Czy na przyspieszenie tego ustąpienia miały wpływ zarzuty, że w czasie rządów hitlerowskich opracowywał plany baraków — dla obozów koncentracyjnych? Nie naszą sprawą jest dochodzenie, czy i o ile te zarzuty były słuszne. Umilkły one jednak dopiero z chwilą jego ustąpienia. A druga sprawa dotychczas aktualna: Otóż obecny kanclerz Kurt Georg Kiesinger, od 1-go maja 1933 członek partii narodowo-socjalistycznej, był w czasie wojny zastępcą kierownika Wydziału Radiowego niemieckiego M.S.Z. i łącznikiem z ministerstwem propagandy. Do zadań jego należało śledzenie zagranicznych doniesień radiowych i w danym razie przeciwdziałanie im. Jest rzeczą jasną, że musiał on w tym charakterze znać doniesienia o okrucieństwach hitlerowskich, a zwłaszcza też o postępowaniu hitlerowców w sprawie Żydów, bo zarówno prasa jak też radio zagraniczne o tym donosiły. Musiał się tym z urzędu zajmować. A dzisiaj powiada, że np. o morderstwie Żydów nie wiedział!!!

Nie wchodząc w dalsze szczegóły tej sprawy, trzeba jednak podkreślić bardzo dziwną rzecz. Otóż w kwietniu 1968 r. Kiesinger zapowiedział, że wszystkie podnoszone przeciwko

niemu zarzuty zostaną dokładnie zbadane i że dokumentacja, wykazująca ich bezpodstawność, zostanie ogłoszona. Badania miało przeprowadzić między innymi dwóch profesorów uniwersytetu. Dotychczas czekano cierpliwie na wyniki. Aż nagle 18 lipca br. rzecznik rządu w Bonn Conrad Ahlers oświadczył, że od planu ogłoszenia tej dokumentacji odstąpiono.

I tu mimo woli narzuca się pytanie: Co się stało? Czyżby badania wykazały, że współpraca obecnego kanclerza z rządem hitlerowskim była tego rodzaju, że ogłoszenie dokumentacji na ten temat doprowadziłoby do bardzo niemiłych skutków? A to dzisiaj nie byłoby wskazane nie tylko ze względu na nadchodzące wybory i na osobę kanclerza Kiesingera, który stoi na czele partii CDU/CSU, ale również ze względu na zagranicę. Bo ta mogłaby sobie wreszcie powiedzieć: Kto właściwie w Niemczech rządzi? Czy nadal dawni współpracownicy reżimu hitlerowskiego? A dodajmy jeszcze na marginesie, że latem 1968 r. w toku procesu przeciwko innemu urzędnikowi hitlerowskiego M.S.Z., niejakiemu Fryderykowi Gebhardowi von Hahn, oskarżonemu i skazanemu za udział w morderstwie Żydów, Kiesinger wezwany został przez obronę jako świadek. Jego zeznania rzuciły jednak na niego samego dość dwuznaczne światło. Przy tej sposobności dowiedziano się też, że poprzednik von Hahna w M.S.Z. Ribbentropa, niejaki Müller-Roschach jest obecnie posłem w Portugalii, a przełożony Kiesingera z tego czasu, Schirmer, ambasadorem w Australii!!!

Co za wnioski jednak można wyciągnąć z faktów tego rodzaju? Oto, że w Niemczech żyje jeszcze, bo żyć musi, przeszłość, która była częścią istnienia wielu ludzi, mogących mieć i mających zawsze jeszcze wpływ na politykę. Przykrywa się ją dzisiaj pilnie i powiada, że została obalona. Ale co by było, gdyby się nagle pojawiły warunki, sprzyjające w taki lub inny sposób jej odrodzeniu? Należy się zawsze liczyć z tym, że może ona, podobnie, jak rośliny, którym wprawdzie ucięto łodygi, ale których

korzenie tkwią jeszcze w ziemi, przy zmianie położenia wypuścić nowe pędy.

Na to, żeby naprawdę zniknęły istniejące jeszcze zawsze ziarna niebezpiecznej przeszłości, musi odejść pokolenie, w którym te ziarna mimo wszystko tkwią, które pamięta dawny ich rozrost, które przeszłości tej nie zapomniało, chociaż rzuca na nią zasłonę. Dopiero pokolenie, którego już z tą przeszłością nie będzie łączyło, może być wolne od jej wpływu. I to pod warunkiem, że się będzie przeciwko tej przeszłości buntować.

Stąd dla przyszłości stosunków polsko-niemieckich nie są ważne słowa, ale powstanie zupełnie nowych podstaw, wyrwanie korzeni przeszłości. Tego może dokonać raczej młode pokolenie, które dzisiaj szuka nowych warunków życia, odrzuca przeszłość i stara się patrzeć w przyszłość. Możliwość takiego rozwoju należy śledzić uważnie.

## ANGLOPOL Ltd.

z a ł a t w i a m y

*Kupno — sprzedaż domów*

*— Pożyczki do 80%*

**226, Westbourne Grove,  
London, W. 11.**

Tel.: BAY 3645

## Z B R O D N I A K A T Y Ń S K A W ŚWIETLE DOKUMENTÓW

*z przedmową*

**WŁADYSŁAWA ANDERSA**

Cena: 35/-

## T H E C R I M E O F K A T Y N F A C T S a n d D O C U M E N T S

Cena: 37/6

**KSIĘGARNIA S.P.K.  
20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W. 7.**

# Wpatrując się w globus . . .

**K**AŻDY KTO studiuje sprawy międzynarodowe, powinien w dzisiejszych czasach mieć stale przed sobą globus. Nie mapę — a globus. Wolno przypuszczać, że wkrótce niezbędnym okaże się planetarium...

Polityka międzynarodowa jest bowiem sprawą globalną. Nawet problemy pozornie lokalne, stały się funkcjami rozgrywek w skali światowej. Są one przez to często uzależnione od spraw geograficznie odległych — może aż na antypodach położonych. Zdawanie sobie sprawy z takich powiązań jest warunkiem należytej oceny i skutecznego działania.

Świat, określenie to jest już anachronizmem, — nasza Ziemia — stale maleje. Zwłaszcza politycznie i gospodarczo. Sprawiają to komunikacje. Nie ma miejsca, do którego nie można by dotrzeć w ciągu godzin, najwyżej dni. Słowo dociera wszędzie natychmiast.

Zasięg interesów mocarstw obejmuje całą kulę ziemską. Granice ich, od wschodu i zachodu wyznaczają oceany. Od północy i południa bieguny lub równik. Zachodzą na siebie i krzyżują się. Biegun północny już nie dzieli pustkowiem nie do przebycia. Raczej łączy — jako najkrótsza między nimi odległość. Południowy został, co prawda, i to dziwnie zgodnie, podzielony przez porozumienie, które go postawiło poza rozgrywkami. Ale na jak długo?

Nici spraw mocarstwowych plączą się na kontynentach obu półkuli. Krótkie spięcia między nimi, gdziekolwiek na świecie, przekazywane są natychmiast do ośrodków centralnych, wywołując odległe reakcje. Powiązania te są dla postronnych obserwatorów trudno uchwytne, lecz dla rządzących bardzo istotne. Otwierają możliwości dla przetargów i kompromisów. Służą do szachowania, lub retaliacji. W rezultacie zaskakują nas ustawicznie wydarzenia, których motywy trudno wypatrzyć w zasięgu konwencjonalnym.

Pisarz polityczny, o ile nie jest związany z jakimiś ośrodkami dyspocyjnymi, skazany jest na wyciąganie wniosków z powszechnie znanych faktów, a i to często zawodzi, wobec doprowadzonej do perfek-

cji dezinformacji. Musi się posługiwać domysłami, doświadczeniem i własną intuicją. Nader pomocnym może się w tym okazać globus. Baczne wpatrywanie się w niego, dziwnie rozwiewa wiele przyjętych komunalów, wykazuje absurdalność utartych twierdzeń i ułatwia rozumienie, w rzucie światowym, wydarzeń pozornie niewytłumaczalnych. Odnosi się wrażenie, że wielu publicystów, nie tylko polskich, nie miało globusu przed sobą od czasów szkolnych.

Płaska mapa nie wystarcza. Można było na niej poprzestawać, gdy wypadki i ich reperkusje ograniczały się do jednego, stosunkowo niewielkiego rejonu. Powierzchnia kulista globu ziemskiego przeniesiona na mapę, ulega bowiem deformacji. To, co jest bliżej biegunów, pokazane być musi w stosunkowym powiększeniu. Zależnie od skali i położenia, różnica bywa istotna i łatwo myli. W polityce, obszary i odległości, a tym bardziej wzajemne ich proporcje, mogą mieć znaczenie zasadnicze. Wystarczy spojrzeć jak małą jest Polska, albo Anglia, na globusie w porównaniu np. z Indiami, a o ile większa wydaje się na mapie, niekoniecznie nawet w rzucie Merkatora. Uprzytamnia to, jak małą jest nasza Europa w porównaniu z resztą świata, jak zdumiewające były jej dotychczasowe dokonania i co to wróży na przyszłość.

Warto też spojrzeć na kulę ziemską z góry od strony bieguna. Gdy stanowi on centrum, konfiguracja wygląda zupełnie inaczej. Odległości i sąsiedztwa mają nowy aspekt. Wiele nici się już tamtędy krzyżuje.

Są to prawdy oczywiste, znane już każdemu z lekcji geografii. Niemniej zdajemy się ulegać często sugestii mapy, a nie dość wyciągamy wniosków z tego co globus nam wskazuje. Odbija się to na rozumowaniach i konkluzjach.

Mam przed sobą globus, pilnie się w niego wpatruję...

Wielka pozioma plama imperium rosyjsko-sowieckiego ciągnie się od Europy Środkowej aż do Pacyfiku. Przy niej malutka Polska, o PRLo-

wym kształcie, wciśnięta między dwóch, niewspółmiernych obszarem, ale równie wrogich sąsiadów. Ten stan rzeczy uważamy za dopust Boży. Widzimy jedyny sposób radykalnej poprawy, po włączeniu się do jak najbardziej zjednoczonej Europy. Po deprymującej przerwie, łączenie się jej zachodniej części, posuwa się wciąż bardzo powoli. A tymczasem, wydarzenia i Rosja nie czekają. Wielka to dla niej pokusa — zawczasu ją rozbić, zanim Europa nie skonsoliduje się dostatecznie. Na szczęście, to niebezpieczeństwo chwilowo maleje. Mimo to jest mała nadzieja, by żelźenie presji rosyjskiej zostało przez Europę wykorzystane. Nawet NATO, zbrojne jej ramie, zdobywa się tylko na zapewnianie, że dalszych redukcji nie zamierza.

Niemcy na globusie, wyglądają, podobnie jak Polska, małe i prowincjonalne, jakby się kryły za nami przed olbrzymem sowieckim. Gdybyśmy nawet nanieśli linie ich ekspansji gospodarczej, to daleko im jeszcze do mocarstwowości. Jednakże starannie ukrywane, ale niewątpliwe powiązania z Chinami Mao, muszą zastanawiać. Stykają się one tam z analogicznymi ze strony Japonii. W terażniejszej pozycji obu tych państw jest wiele podobieństwa. Ich dynamizm, umiejętna zapobiegliwość i potencjalna półmocarstwowość — są prawie równe. Niemniej położenie geograficzne Niemiec musi je prowadzić do Zjednoczonej Europy. Czy chcemy, czy nie chcemy, geografia sprawia, że się z nimi tam spotkamy, a nawet, że one nas wyprzedzą.

Imperium sowieckie wspierało się dotychczas na swych tyłach o komunistyczne Chiny i miało dzięki temu jeden front. Paszczę rozwartą na resztę Europy, ponad głowami trzymany w łapach satelitów. Wsunięte w tamtą stronę kleszcze, jeszcze niedawno zdawały się ją osaczać, czekając na dogodną chwilę, by zgnieść ją w śmiertelnym uścisku<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Zob. „Rozwarte kleszcze“ Orzeł Biały, marzec 1969.



Ubiegłej wiosny, przywódcy sowieccy posłyszeli dzwonek alarmowy. Insula in fluminae nata, sezonowa mielizna na rzece Usuri, stała się, z niewyjaśnionych przyczyn, punktem zwrotnym. Incydentów granicznych było wiele i od dłuższego czasu. Dlaczego właśnie ta potyczka, której wynik nie jest jasny, była ostatnią kroplą, która przeważała w ich umysłach zrozumienie, że godzina wielkiej rozgrywki na Dalekim Wschodzie wybiła, nieprędko się dowiemy. Nastąpił wtedy w tył zwrot. Polityka Sowietów zmieniła się diametralnie. Odwróciła się o 180 stopni. Sowietolodzy i chinolodzy zawodzą często, ale możemy zaufać Rosjanom, że oni dobrze wiedzą, co się tam dzieje i kroi.

W Sowietach najwidoczniej uprzytomniono sobie, że mogą być zmuszeni walczyć na wielu frontach równocześnie. Na wschodnim i zachodnim, na miękkim południowym podbrzuchu w Azji, a kto wie, czy i nie z nalotami od północy, przez biegun. Zmora każdego wodza, walka na wiele stron, stała przed imperium sowieckim.

Biegun polityczny świata przesunął się na Daleką Wschód.

Czyżby Rosja się bała? Niejedno na to by wskazywało. Nie ukrywa zresztą swego zdenerwowania. Nawet je afiszuje. Niektórzy twierdzą, że jest to celowa gra. Być może. Noto-ryczny kłamca wie, że najlepiej wprowadza w błąd — gdy mówi prawdę. Sprawdzianem w takim razie mogą być tylko fakty, a jest faktem, że zmieniają swą politykę zasadniczo. Od strony Europy, okężnie pacyfikują i zabezpieczają sobie spokój. Owe kleszcze zostały wciągnięte — jakoby ich nigdy nie było. O Berlinie gotowi są ugodowo rozmawiać. Gomółce kazano wyciągnąć rękę do NRF i zabiegać o konferencję, która by doprowadziła do porozumienia europejskiego i zafiksowała obecny stan rzeczy — za ogólną małoduszną zgodą. Wypuszczono nawet na Zachód poputeczyka Kekone-na, by nadać podrywkom piętno „respectability“. Widocznie i to nie wystarczy, bo Sowiety usiłują macić przez nawiązywanie kontaktów z poszczególnymi partiami Niemiec Zachodnich. Na Bliskim Wschodzie, przeszkadzają Chińczykom, którzy ze

względu na swoje interesy muzulmańskie, popierają Arabów, wbrew pozorom — wołą też tam pacyfikować. Flota ich na Morzu Śródziemnym popisuje się, ale nie wygląda aż tak bardzo groźnie. Nawet syjoniści — nie są już tak bardzo źli. Rozmowy o rozbrojeniu i nieużywanie broni niekonwencjonalnych — jakoby ruszają z miejsca. Nie obejmują jednak Chin. Czy więc będzie wolno tych broni tam używać? Jeżeli Sowiety chcą mieć, za wszelką cenę w Europie zapewniony spokój, to jest to moment, kiedy by można wiele ustępstw wymusić. Niestety, mało jest nadziei, by państwa zachodnie na tą się zdobyły.

W tym kontekście najważniejszą dla Rosji będzie postawa satelitów europejskich. Jeżeli w czasie jej zaangażowania na wschodzie zachowają się one spokojnie, to mogą być dla niej pancierzem od tej strony. Gdyby jednak potulnym rządów zabrakło siły, by utrzymać swe narody w ryzach, to wojska satelickie mogłyby stać się poważnym zagrożeniem na tyłach. Niedawna konferencja państw Paktu Warszawskiego w Bukareszcie miała za główny cel uzyskanie zgody na użycie tych wojsk na „innych terenach“ (czytaj: na Dalekim Wschodzie). Nie chodziło o mięso armatnie. Chodziło o zabranie ich daleko, pod własne skrzydła i o dobre skrwawienie. Temu, zdaje się, za przewodem Rumunii, satelici się oparli. Z Rumunią, na razie, obchodzą się w rękawiczkach. Podkreślam na razie. Nie tylko dlatego, że Nixon tam pojechał. Raczej dlatego, że Rumunia ma powiązania z Chinami. Mogłoby jej przyjść do głowy próbować stać się przyczółkiem — coś na kształt Albanii.

Globus nadto wskazuje, że Rumunia jest potencjonalnie, naturalną ostoją dla ukraińskich ruchów wyzwolńczych, gdyby zaczęły się przejawiać. Granica południowo-zachodnia Czechosłowacji zaś, zewnętrzną granicą imperium. W przygotowaniach defensywnych muszą być szczególnie zabezpieczone. W tym leży sedno ostatnich drakońskich posunięć w Czechach.

Widzieliśmy, jak rozpaczliwie chodzilo Sowietom o pozyskanie sobie innych partii komunistycznych, na skwapliwie organizowanym zjeździe światowym w Moskwie. Nie wyszło

im to najlepiej. Coś niecoś uzyskali, ale nie udało się im zmobilizować poparcia, nawet słownego, przeciw Chinom. Czasy się jednak zmieniły!

Czego chcą Chiny? Każdy kto tam był, musi wyczuwać, że to co czytamy i do wyczerzenia nam jest podawane — niewiele ma wspólnego z rzeczywistością. Jeżeli nawet fakty są znane, to ich interpretacja — musi budzić wątpliwości. Świat anglosaski stale błądzi przy interpretowaniu spraw rosyjskich, mimo, że o realiach jest zwykle dobrze poinformowany. Tak samo się rzeczy mają, jeżeli chodzi o Chiny. Ale w tym wypadku dotyczy to i nas. Wszyscy stoimy wobec wielkiej niewiadomej.

Propaganda rosyjska, a w pewnym stopniu i amerykańska, usiłują wmawiać, że Chińczycy są narodem prymitywnym, a od czasu „rewolucji kulturalnej“ — niemal dziczą. Jest to przynajmniej nieporozumienie. Odwieczna kultura chińska, bardzo różna od naszej, jest swoście wysoka i głęboko sięga w masy. Jest na swój sposób klasyczno-humanistyczna i spirytualistyczna, z pewnym posmakiem degeneracji. Obecnie młode pokolenie uległo jakoby komunistycznemu rozwydrzeniu, ale i to jest chyba wyolbrzymiane. Kto się głębiej stykał z narodem chińskim, nie mógł nie poczuć się onieśmionym jego wysubtelnieniem duchowym i artystycznym oraz wyrafinowaniem, do których „biały“ nie łatwo może się dociągnąć. Trudno uwierzyć, by to wszystko znikło z kretesem w ciągu niewielu lat ostatnich. Na przykładzie Japończyków widzimy, że ludzie rasy żółtej, potrafią przyswajając sobie technikę, nie zatracając rodzimych walorów. Próba Mao zaszczepienia na tym podłożu chamskiego komunizmu, musiała, wbrew pozorom, zaprowadzić w ulicę bez wyjścia, w której czerwone książeczki przestają, na dłuższą metę, być wystarczającym drogowskazem.

Zdaje się, że Mao znalazł wyjście w rozpętaniu wściekłego nacjonalizmu. Nie było to zbyt trudne, gdyż od dawna naród chiński cierpi na kompleks niższości, wywołany przez klęski polityczne i wojskowe, które mu zadawały wszystkie państwa „imperialistyczne“, zwłaszcza zaś carska Rosja, a później nie mniejsze —

sowiecka. Wytworzyło to zapiekłą nienawiść i chęć zemsty, skierowane przede wszystkim przeciwko Moskalom, których odróżniają od innych poddanych rosyjskich, i dla których odczuwają bezgraniczną pogardę. Uczucia te są na pewno silniejsze, od raczej teoretycznych mrzonek panowania nad południową Azją i narzucania tam obcego komunizmu. Nienawiść do Ameryki jest nowsza, raczej sztuczna i powierzchowna.

Ilu mieszkańców mają Chiny — naprawdę nikt nie wie. Owe 800 milionów jest obliczeniem „na oko“. W każdym razie, te części Chin, które, w obecnym swym stanie, nadają się do masowego zasiedlenia — są przeludnione, ale południe i wschód Azji też i w niemniejszym stopniu. Natomiast południowa Syberia, mniej więcej do kolei transsyberyjskiej i Bajkału, ma warunki stosunkowo dobre. Jeszcze lepsze ma kraj Usuryjski (rosyjska Primorska Oblaść) z Władywostokiem, aż po ujście Amuru. Tereny te są nadal słabo zaludnione. Chiny nigdy nie przestały uważać ich za swoje, zagarnięte przez Moskale, nie tak dawno, siłą i zdradą. Wojna o ich odzyskanie stałaby się wojną „świętą“ — wojną narodową. Byłaby prowadzona z fanatyzmem i nieprawdopodobnym samopoświęceniem. Trudno przypuścić by Mao mógł, nawet gdyby chciał, to powstrzymać — z chwilą, gdy namiętności rozpętał.

Imponderabilia jednak grają, a teraz bardziej niż kiedykolwiek. Mogą rozwój powstrzymać, lub go poprzemieniać. Mao jest stary i jakoby schorowany. Może umrzeć raptownie. Po nim może dojść do władzy, przy ich pomocy, poplecznik Sowietów. Będzie się starał z obecnej drogi zawrócić. Na dłuższą metę rozhuśtany nacjonalizm zmusiłby władców Chin do powrotu na drogę po której kroczył Mao. Na teraz należy się liczyć z tym, że jeżeli Mao zdecydował się na rozgrywkę z Rosją, to będzie chciał jej dożyć. Jest zaś już w tym wieku, że nie może zbyt długo odkładać.

Jeśli wojna nastąpi, to nie musi stać się wojną powszechną. Reperkusje jej mogą być daleko idące, ale nie oznacza to, by działania wojenne miały się koniecznie rozciągnąć na naszą stronę kuli ziemskiej.

Chyba, że wojna atomowa... Wątpliwe jest, by Rosji opłaciło się pierwszorzędnie zacząć. Zdaje się, że Chiny przetrzymałyby ją łatwiej niż inni. Wiemy, że Sowiety nie chcą jej rozpętania. Bomba chińska? Jest to sprawa dość niejasna. Wiadomo, że coś zmagistrowali i coś wyprodukowali. Ale co, ile i co to warte — nie wiadomo. Wiemy też, że ktoś im w tym pomaga (?). Kto zna trochę Chiny, a czytał w jednym z głównych dzienników londyńskich, niedawno, sensacyjny opis pióra znanego dziennikarza, który miał jakoby zwiedzać chińskie zakłady atomowe koło jeziora Lop-Nor, w Si-Kiangiu i jak tam mile był przyjmowany i oprowadzany, mógł łatwo się zorientować, że był to „fake“, apokryf skomponowany w Londynie, za biurkiem, że autor nigdy tam nie był i nic nie widział. Cui bono ta propaganda strachu?

Groza tej przyszłej wojny jest propagowana szeroko i planowo. Miałyby się nieuchronnie rozprzestrzenić na całą kulę ziemską, a wojna atomowa świat ostatecznie rozwalić, lub w najlepszym razie zatruć. Bynajmniej nie musi tak być. Jeżeli reszta świata potrafi spokojnie kibicować zmaganiom niedźwiedzia ze smokiem, to nie ma racji, dlaczego by nie dała się zlokalizować na niezmiernych obszarach Azji środkowej. Moskwa by chciała, ażeby świat w to uwierzył (i w żółte niebezpieczeństwo też) i ze strachu wołał jej pomagać.

Czy Chiny mają jakkolwiek szansę w tej gigantycznej rozgrywce? Zapewne, ale połączoną z wielkim ryzykiem. Zarówno wojskowym jak i politycznym. Lecz nawet w razie klęski, Chiny jako przetrwają. Sowietka Rosja, gdyby miała przegrać — napewno nie. Stawki są zatem różne.

Przedostawanie się Chińczyków na sowieckie tyły będzie zawsze chyba możliwe. Wiadomo, że od dłuższego czasu odbywa się ich infiltracja do południowej Syberii i że się tam potrafią ukrywać tak, że ich potem nie można odszukać. Widzimy też, jak nie może sobie poradzić największa potęga, nowoczesnie uzbrojona i dysponująca potężnym lotnictwem z wojną podjazdową i podziemną Północnego Wietnamu. Chiny są chyba lepiej przygotowane i uzbrojone od Wietnamczyków. Rezerwuwar ludzki Chin jest tak olbrzymi, że Rosja, na-

wet przy ściągnięciu tam swych wojsk ze wszystkich frontów, nie może z nimi współzawodnić. A Chińczycy będą walczyć do upadłego, nie licząc się z ofiarami. Wojna ta byłaby tak różna od tego co jest znane z konwencjonalnych warunków w Europie, że mogą świat czekać duże niespodzianki.

Rosjanie będą chcieli, by epicentrum walk umiejscowiło się na zachodzie, na pograniczu Si-Kiangiu. Strona chińska będzie starała się przesunąć je na wschód, w okolice rzeki Usuri.

Ważniejsze od wojskowych, są elementy polityczne, które muszą zacząć grać, jeżeli się okaże, że Sowietom niezbyt dobrze się wiedzie. One wszystkie grałyby na rzecz Chin. Rosja znalazłaby się w odosobnieniu.

Dalekowschodnim sąsiadem Rosji jest Japonia. Stała się potęgą ekonomiczną, ale jest przeludniona i pozbawiona jest surowców. Potrzebuje ekspansji. Niedawno szukała jej w Korei i w Chinach. Nie jest to obecnie aktualne. Wschodnia Syberia jest blisko, jest prawie niezaludniona i ma wielkie, niewykorzystane bogactwa naturalne. Trudno sobie wyobrazić, by Japonia nie chciała wykorzystać pierwszej sposobności, by się o nie pokusić. Zresztą Rosja posiada jej dawne terytoria: Wyspy Kurylskie i Sachalin bogate w ropę, której Japonii jest brak. Nawet Kamczatka, ma klimat nie o wiele gorszy od północnych wysp japońskich.

Japonia uważa, że jest na drodze do mocarstwowości. Swoją rolę widzi w objęciu przewodnictwa w Azji, nad rasą żółtą, tym bardziej iż uważa, że od „białych“ przejęła już wszystko, co było do przejęcia. Jest jeszcze za małą po temu terytorialnie. Tereny syberyjskie, niemal dziewicze, są jedyne w jej zasięgu, które by jej nie postawiły w konflikcie z innymi narodami Azji. Z Chinami, jednymi i drugimi, prowadzi od dawna konszachty. We właściwym momencie może się znaleźć u ich boku.

Wojna w Wietnamie winna się skończyć jak najprędzej, by uwolnić siły amerykańskie, które są tam zbyt kosztownie zaangażowane. Pilnowanie tego wylotu komunizmu w daleki świat, nie jest obecnie tak ważne, gdyż ani Rosja, ani Chiny, zbyt gdzieindziej zaabsorbowane, nie będą mo-



# Co mam powiedzieć Dzidzi?

O STATNIM wyzwaniem strzela w głuche niebo kolumna Zygmunta, płonie Warszawa, duszą się ludzie w komorach gazowych, masowe groby na ulicach, Żydzi to nie ludzie, druty, kolczaste druty... aha, przecież to dzisiaj pierwszego września, program telewizyjny w 30-ą rocznicę „mojej“ wojny. Bomby w skrzynce telewizyjnej, pożary na ekranie mojej pamięci, kotłują się nieludzkie śmierci od ludzkich gwałtów z ludzkim cierpieniem w nieludzkiej formie. 30 lat, już? Wczoraj? Dzisiaj?

Dochodzący jakby z innego wymiaru dźwięk dzwonka przy drzwiach wyrwa mnie z koszmaru. „Dzidzia, drogie dziecko, zupełnie zapomniałam, że to dzisiaj twoje urodziny, jak to ładnie ześ przyszła! Ale przecież miałaś być teraz z mamusią w Rumunii, co się stało?“ — mówię do pięknej młodej kobiety stojącej w drzwiach. Ale Dzidzi nie urodziny w głowie, rzuca mi się na

szyję z płaczem, ciciu co robić, ciciu!

Rozmazana łzami maskara podkreśla ciemne kręgi pod siwymi oczyma, rozwichrzone złociste włosy dotykają nieomal rąbka szkockiej mini-spódniczki, na czarnym sweterku rzuca się gwałtownie krzyżyk na łańcuszku i medalion z Matką Boską Częstochowską, który podarowałam jej wiele lat temu. Staram się Dzidzię uspokoić, prowadzę ją do głębokiego fotela, podosuwając jej bombonierkę z jej ulubionymi czekoladkami, które połyka jedna za drugą, krztusząc się nerwowo. Jestem pełna złych przeczuć, co się stało z matką Dzidzi, a moją najserdeczniejszą przyjaciółką Irką, która jest we Wrocławiu?

„Wyobraź sobie, nie udało nam się spotkać z mamą. Odmówiono jej wyjazdu do Rumunii, gdzie mieliśmy już zamówiony pensjonat, próbowała do wszystkich innych miejsc,

gdzie może jechać bez paszportu, też bez powodzenia. Myślisz może, że na tym koniec, ale skąd! Jeszcze na dodatek wyrzucono ją z pracy! Co ona teraz robi, jak sobie poradzi? Znajomy tajniak powiedział nam, że to kara za jej „zbytnią zażyłość z Izraelem i syjonistami“, no i co ty na to wszystko powiesz? — dramatycznym pytaniem zakończyła Dzidzia swoją relację o wakacjach, których nie było.

Zamykam telewizję, na której pokazują teraz, jak młodzi Izraelczycy — za których cierpi teraz Irka — umierają broniąc wolności przed nie uznającą żadnych ludzkich praw arabską dziecą tak, jak 30 lat temu umierali za wolność i bronili się młodzi Polacy, osaczeni przez dzicz niemiecką i rosyjską. Zamykam telewizję, żeby Dzidzia nie widziała kontynuacji wojny, pod znakiem której urodziła się 30 lat temu. „Idźcie kopać rowy, róbcie coś zamiast siedzieć tutaj przy mnie i cackać się niemowlakiem. Żebym to ja już mogła wstać!“ — wyganiała nas Irka z obstawionego kwiatami prywatnego pokoju w eleganckiej warszawskiej klinice. Była w jasnoniebieskiej jedwabnej koszuli, z karkadką w jasnych włosach, pełna patriotycznego żaru i życia, gdyby nie małutka główka przy piersi nikt by nie domyślił się, że rodziła przed 10 godzinami. Grzmiało radio, zdradzili, napadli, nie damy, do boju; kwiliło niemowlę. Nie odeszliśmy od Irki, której mąż był już na froncie. Kto by się spodziewał, kiedy pewny siebie i roześmiany wymachiwał mi się temu kartą mobilizacyjną, że nigdy nie zobaczy Dzidzi.

Ale co ja ciągle z tą Dzidzią. Dzidzią pozostała przecież już tylko dla Irki, dla Ester i dla mnie, przyzywanej „ciciu“, z wolnego wyboru i miłości. Dla innych to pani doktor Wanda Wawrzyniak, od 2 lat mieszkająca w Londynie z mężem, inżynierem Wojciechem Wawrzyniakiem. Pracowali w swoich zawodach i każdy zaoszczędzony grosz posyłałi Irce, na mieszkanie w Warszawie. Bo przez pierwszych 6 lat małżeństwa musieli dzielić dwa pokoiki z Irką i jej przyjacielem, a to

## WPATRUJĄC SIĘ W GLOBUS...

gły wykorzystywać, ale byłoby naiwnością liczyć, że Sowiety pomogą do jej zakończenia. Przecież chodziło im o wiązanie sił Ameryki i o odwrócenie uwagi Chin w tamtą stronę. O rozumie politycznym władców Chin świadczy, że nie ulegli tej pokusie. Potencjał Stanów Zjednoczonych może się okazać znacznie bardziej potrzebny gdzieś indziej.

Najważniejszą i bodaj decydującą jest postawa, jaką zajmie Ameryka. Do niedawna było aksjomatem, że jej głównym wrogiem są Chiny. Może to dziwić, ale jeszcze za Johnsona tak było. Nixon się słusznie dotąd nie wypowiedział, ale wygląda na to, że schodzi z tego stanowiska, na postawę zapowiadającą neutralność. Wiemy jednak, jak neutralność Ameryki potrafi wyglądać. Z tej postawy zdołała już nie raz przechylać szalę. Daleko jeszcze do tego, by Nixon opowiedział się przeciw Rosji. Ma jednak różne strzały w swym kolczanie. Są to sprawy dalekie. Możemy tylko pragnąć, by Nixon poczuwał się do obowiązku wyzwolenia świata od

zmory, która go dławi... Rosja oczywiście to wszystko rozumie. Zdaje sobie sprawę, że byłaby to dla niej walka na śmierć i życie. Dlatego zabiega o resztę świata, jak tylko potrafi. Tylko, że nie bardzo potrafi i nie bardzo może. Mało jest takich, którzy by jej zaufali i uwierzyli.

Tak zdaje się wyglądać sytuacja — wpatrując się w kryształowy globus. Jest tyle niewiadomych, a imponderabilia będą też występować, że jej rozwój może przybrać zupełnie inny obrót. Nasi komentatorzy, bojąc się jak ognia pomówienia o „wishful thinking“ odniosą się pewno do tej oceny sceptycznie. Taka czy inna ocena, nie może mieć wpływu na polską postawę. Znajdujemy się bowiem na dnie worka<sup>3)</sup> i wiele wody i krwi upłynie zanim staniemy się z przedmiotu, podmiotem polityki światowej. Możemy tylko czekać i mieć oczy otwarte na bieg wydarzeń.

<sup>3)</sup> Zob. „Na dnie worka“, Orzeł Biały, czerwiec 1968.

nie było przyjemne, szczególnie, że Irka nie przepadała za zięciem. „Z awansu społecznego“, mówiła o nim, zawsze pełna nienawiści i ironii wobec nowych porządków i nowych ludzi, a cóż dopiero gdy ci nowi ludzie w osobie Wojtka „zabrali“ jej jedynaczkę, dla której i królewicz z bajki byłby zaledwie niezłą partią. Młodzi jak to młodzi, nie przejmowali się znaną, ale gdy przed kilkoma miesiącami Irka napisała, że wpłaciła ostatnią ratę, szczęście ich nie miało granic. Teraz już tylko zbiorą na meble i na auto, i jazda do domu, cieszyli się. Wojtek wyrysował mi niedawno plan ich dwupokojowego „pałacu“, przekomarzali się ze sobą, gdzie co postawią, jakiego koloru firanki, żeby nowoczesnie i ujutnie, no i w ogóle... **Własne mieszkanie w Warszawie, cóż może być wspanialszego!**

Dałam Dwidzi coś zjeść, uspokój się, proszę, ale samej daleko mi do spokoju. Więcej przecież od Dwidzi wiem, jak ciężko Irce ze stałe zdradzającym ją przyjacielem, jak bardzo tęskni za jedynaczką, jak boryka się z wszelkiego rodzaju trudnościami. Przez te dwa lata pobytu młodych w Londynie zasypywała mnie listami, co z Dwidzią, jak Dwidzia, pisz więcej, za mało szczegółów. Bo Dwidzia, przepraszam — pani doktor Wawrzyniak, pisała niewiele i rzadko, tak bardzo rzadko jak dla matki, której pozostało to jedno dziecko, wychuchane, wypieczone, wyratowane z tysiąca wojennych i powojennych opresji. No cóż, od dzieci nie można za dużo wymagać. Pisałam więc o Dwidzi i Wojtku, że im dobrze ze sobą, że Dwidzia szczęśliwa, wypiękniała, właśnie kupiła sobie brązowe aksamitne spodnie. Irka załatwiała sprawę mieszkania, żeby tylko jak najprędzej wrócili, a od pół roku czy więcej żyła tylko jedną myślą: że zobaczy córkę latem, podczas ich i swego urlopu. A ganiała, a smarowała, a planowała! W ostatnim liście, który dostałam przed moim wyjazdem z Londynu, pisała, że narzeczcie, wszystko ma załatwione, nie może się już doczekać chwili spotkania. I jaka szczęśliwa, że „zmieni atmosferę, bo obrzydzenie bierze, co oni tutaj wyprawiają, ja dłużej nie wytrzymam...“

„Dobrze, żeś nie była w Londynie, kiedy się to wszystko działo, rozchorowałabyś się, jak ja. Dzień w dzień telefony do Warszawy, dokąd mama przyjechała specjalnie, żeby załatwić wyjazd. Do ostatniej chwili łudzili ją, oszukiwali, dręczyli, mama szalała, wiesz przecież najlepiej, że do wszystkich presji i zakazów nigdy nie umiała się przystosować, i dalej nie umie. Zawsze w takich wypadkach usiłowała być czynna, działać, protestować, a teraz jedyną rozsądną rzeczą, jaką może i powinna zrobić, to siedzieć cicho i nie rzucać się w oczy. Na pewno dręczy ją także, że ani w listach ani przez telefon nie może nam powiedzieć, co o tym wszystkim myśli, bo i jedno i drugie jest pod kontrolą. Co ona teraz robi, kłębek nerwów, chorowała też ostatnio...“ Dwidzia płacze, ja też, ja przecież naprawdę wiem, tak dobrze wiem.

... u pani Taniewskiej od wstępnej klasy, trzy nieodłączne „muskietierki“, Irka, Ester i ja. Wagary i wypadki z chłopakami, i lody na ulicy, i teatry w ostatnich rzędach galerii. Która miała kilka groszy — ta płaciła. A te kawały robione nauczycielkom! Tyle, tyle rzeczy, a wszystko razem — jedna przyjaźń, która zdała egzamin i w czasach pogardy, podczas wojny.

Irka uratowała Ester i jej całą rodzinę, nawet przyjaciół — kilkunastu Żydów. Razem z Ester przenosiły broń dla AK, razem przeżyłyśmy Warszawskie Powstanie, z dziećmi skakałyśmy z pociągu, który z płonącej Warszawy miał nas zawieźć do obozu koncentracyjnego. Ester była wtedy w ciąży, urodziła syna na stacji kolejowej, Irka przepędziła baby, które nad pół-żywą odmawiały modlitwy za umarłych, nieomal na rękach zawlokła Ester do szpitala. Na jakiej stacji to było, po jakim strasznym marszu w nieznane, nie chcę pamiętać. Tomy nie wystarczyłyby, żeby to wszystko spisać, ale to już przecież nieaktualne, tyle innych tragedii i niesprawiedliwości nagromadziło się, nagromadziło... Wojna trwa.

Po wojnie Ester pojechała do Izraela, a kilka lat później, jakieś tylko trochę na nogach, urządziłyśmy w Izraelu wielkie spotkanie, na któ-

re Ester sprowadziła Irkę za pierwsze oszczędzone pieniądze. Byłyśmy razem przez kilka miesięcy. Jak ona rozkoszowała się wszystkim i wszystkim, jak żarliwie modliła się i w polskim kościele w Jaffie i w Piwnicy Zagłady w Jerozolimie, gdzie uklękła przed staruszkim rabinem i prosiła, aby ją pobłogosławił. Jej entuzjazm był zaraźliwy, oszałamiający, Irka była szczęśliwa a my z nią. Pisały o niej wszystkie hebrajskie gazety, zasadziła drzewko w Alei Sprawiedliwych, różne związki urządziły na jej cześć przyjęcia, na które zresztą musiałyśmy ją wlec siłą, bo nie chciała chodzić. Biuro Premiera przysłało jej zaproszenia na koncerty i wycieczki po Izraelu. Mogła zostać, nie chciała, „nie ucieka się z tonącego okrętu“, powiedziała, zresztą Dwidzia była w Polsce, obu nie chcieli wypuścić.

Wróciła więc do Polski, i przez długie lata pisała listy, dużo długich listów, do Ester i do omnie, a my odczytywałyśmy te listy ze strachem w sercu, bo Irka nienawidziła reżymu i komunistów, i wcale się z tą nienawiścią nie kryła, lekkomyślna i odważna, jak zawsze. Było jej ciężko materialnie, więc przyjaciele i uratowani posyłałyśmy jej pieniądze. Zwracała. „Nie chcę, żebyście przez jedną chwilę myśleli, że jesteście mi coś winni, ani wy ani nikt inny, pisała i tylko od nas dwóch przyjmowała ciuchy, bo to normalne między przyjaciółkami, a lubiła się ładnie ubrać i nie miała za co.

„Żyć się chce, naprawdę, jak sobie pomyślę, że takie rzeczy mogą się jeszcze dziać na świecie bezkarnie. Powiem i szczerze, nie zdawałam sobie sprawy, że sytuacja w Polsce jest aż taka“ — mówi Dwidzia, potrząsa z niezrozumieniem złotą głową.

Kiedy to było, wydaje się wczoraj, ale to już chyba kilka miesięcy temu, siedzieliśmy z Dwidzią i Wojtkiem w Ognisku, mówiłam: chyba wiecie, co się teraz dzieje w Polsce z Żydami, nieomal jak za Hitlera, masowy cmentarz zamienił się w masowy obóz koncentracyjny, dla Żydów i dla porządnym Polaków. Napisz mamie, poproś mamę, niech uważa, prosiłam, niech lepiej jakiś czas nie spotyka się ze swoimi przyjaciółmi Żydami, niech nie pisze li-



stów do Ester. I tak pewno mają już ją na oku od czasu, gdy odmówiła oficjalnego oświadczenia o tym, jak ratowała Żydów podczas okupacji. Tak im mówiłam, a w torbie miałam list Irki sprzed półtora roku.

„Zwróciła się do mnie Jadzia, wiesz, ta z naszej klasy, dzisiaj wielka ryba, zagorzała komunistką była i została, i mówi do mnie, no teraz kawę na ławę, opowiedz wszystkim jak ratowałaś tych 'podłych agresorów, tych zdrajców' ładnie ci się odwdzięczyli. Mówię do niej spokojnie, chociaż cała się już gotowałam, Jadziu, mówię, ja nie wiem o kogo ci chodzi, jaka wdzięczność. Nie rób ze siebie idiotki, mówi Jadzia, oczywiście o Żydków, tę piątą kolumnę, i tak dalej, te wszystkie ich bzdury, którymi zapelniają godzinówki. Jeszcze się trochę bałam, wiesz jaka tu teraz sytuacja, więc powiedziałam, muszę się zastanowić, jakoś mi to mieladnie właśnie w takiej chwili wypominać, i co ma właściwie piernik do wiatraka, chciałam to ratowałam, niczyj interes. Przyjechała jeszcze raz, specjalnie przyjechała z Warszawy, nalegała, tłumaczyła, i jeszcze raz, aż w końcu zdenerwowałam się: odczep się, powiedziałam, ja komunistom nie będę pomagała, żeby kryć ich świństwa, niech się spalą. Jednak to szkolna koleżanka, chyba nie doniesie...“ Tak mi napisała Irka, zawsze taka sama. A ja już tyle wiedziałam, że zaczęłam jeszcze bardziej bać się o nią. Pisałam ostrożnie, uważaj co piszesz, nie narażaj się, nie pomogło. Chciałam więc moimi obawami podzielić się z córką, może ona będzie miała większy wpływ na nią.

Dzidzia nie wierzyła. Bzduury, powiedziała zajądając małopolski barszcz, aż jej się uszy trzęsły, to wszystko emigracyjna propaganda, mama przecież nie zległa nie zrobiła, nie ma czego się bać, a że czasem gdera, kto w Polsce nie gdera? Tylko Wojtek oburzył się, że Irka nie ma racji, Żydzi szkalują Polskę, musimy się bronić, międzynarodowy spisek. „Ależ Wojtku, co ty wygadujesz!“ powiedziała Dzidzia znad barszczu czerwonego jak ludzkie cierpienie i ze zdumieniem spojrziała na męża. Zmieniłam temat rozmowy. Wiedziałam przecież, że córka Irki z mlekiem matki wyssała tolerancję i poczucie sprawiedliwości. A dzisiaj,

cóż, Irka pokutuje bez bez winy, jak uratowani przez nią Żydzi, należy dzisiaj do tej samej rasy prześladowanych, Polka z żółtą łatą.

Doktor Wanda Wawrzyniak, moja biedna Dzidzia, mówi dalej, a głos jej dochodzi do mnie, jak przez mgłę. „Ciociu kochana, co mam teraz robić? Wszyscy odradzają nam powrót do Polski. Nawet ten znajomy tajniak, wiesz ten sam, który wiedział, dlaczego mamę tak szykanują, powiedział nam: macie tu pracę, macie dach nad głową, to czego się spieszyć... Ale przecież nie przedłużą mi paszportu, to co wtedy?“ Dzidzia patrzy na mnie siwymi oczyma, oczyma Irki, w których jest rozpacz i niepokój. Słyszałam już kiedyś podobne słowa, słyszę je, obija mi się po głowie. Przesuwają się obrazy, uchodźcy, uciekinierzy, niekończące się korowody żywych i umarłych, Rosjanie, Czesi, Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Łotysze... Jak Żydów tak i Polaków w chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa cały świat pozostawia własnemu losowi. Nikt nie będzie walczył za Irkę, za Ester czy za Dzidzię; sprawiedliwość, wolność, toż to dzisiaj wyświechtane słowa, czeka bez pokrycia. Jak to wytłumaczyć Dzidzi, co jej powiedzieć? Zmęczona jestem, takie to życie skomplikowane, przesuwają mi się banały po głowie, za dużo tego wszystkiego, nie myśleć, nie myśleć...

Dzidzia prosi mnie o radę, wracać czy nie wracać, zaczyna rozumieć, ale jeszcze nie wszystko. Jak może wszystko zrozumieć, kiedy to dla niej całkiem nowa sytuacja, przymusowe wygnanie, przymusowa rozłąka, nie wie przecież jak to smakuje. Ester wie, ja wiem. Urodzona w jednej niewoli, wychowana w drugiej niewoli, kochająca Boga, Ojczyznę i Matkę, Dzidzia szuka rady u mnie w chwili, gdy prześladowania dotknęły ją osobiście. Ale przecież tylko w takich chwilach można zrozumieć sprawy, na które zamyka się oczy w innych warunkach. Czy zda egzamin człowieczeństwa jako matka? Czy jest na tyle mocna i dojrzała, żeby twarzą w twarz stanąć z wszystkimi problemami tragicznej rzeczywistości, i przeciwstawić im się, może z krzywdą dla siebie i dla matki? Co poradzić jej, gdy tak patrzy na mnie w napięciu, z na-

dzieją, że jednym słowem rozstrzygnę jej wątpliwości.

„Jesteś bardziej przesądna niż wszystkie żydowskie matki razem wzięte“, żartowałyśmy z Irki, gdy niemożliwie rozpieszczała córkę. Życie jest ciężkie, trzeba hartować dzieci, przygotować je na wszystkie możliwości, pouczyłyśmy ją, same nie lepsze od niej, która córkę chowała w cieniu gwałtów i śmierci, dla której Dzidzia była uosobieniem przedwojennej bez troski, okrutnie wydartego małżeńskiego szczęścia, religijnych i moralnych wartości. Po wojnie Irka chwytowała się wszystkich robót, dozwolonych i zakazanych, żeby Dzidzi niczego nie brakowało. A kiedy na podstawie fałszywego donosu dostała się do więzienia, a Ester posłała jej pieniądze na zapłacenie jakiejś kolosalnej grzywny, Irka napisała: „Wolę gnść w więzieniu niż im pchać pieniądze“. W tym duchu chowała Dzidzię, która teraz pyta mnie, wracać czy spać za sobą mosty. I Irkę...

Krzyczałabym, wrzeszczała, nie wracaj, przeczekaj, nie strawisz tego co się tam teraz dzieje, nie na to cię mama chowała. Tak bym jej poradziła, gdyby nie obraz Irki, która stoi mi przed oczyma, samotnej w grzęzawisku, bezbronnej wśród podłości, żyjącej myślą o córce, której w takim wypadku może już nigdy nie zobaczyć. Czy mówiąc „zostań“ Dzidzi, nie wydam na Irkę wyroku? W kraju, w którym panuje teraz prawo zbiorowej odpowiedzialności, tak, jak za czasów okupacji, czy nie będzie pokutować Irka za to, że Dzidzia wybrała wolność? Co stanie się z prześladowaną za uczucia Irką, gdy Dzidzia postanowi, nie wracać.

„Tego rodzaju decyzję człowiek musi podjąć sam“, mówię Dzidzi, i umywam ręce. Jak cały, tak zwany wolny świat. Wiem, że zawiodłam ją, ale cóż innego mogłam jej powiedzieć?



**SZYBKO I TANIO!**

Biułetyny, ulotki reklamowe,  
druki jedno- i wielobarwne  
w y k o n u j ą

ZAKŁADY GRAFICZNE

**GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.**

171, Battersea Church Road,  
LONDON, S.W. 11.  
Tel. 01-228 0879

# KALEJDOSKOP WŁOSKI

**K**RYZYS rządowy we Włoszech, na który zanosilo się od dawna, wybuchł w pierwszych dniach lipca, gdy dawni socjaldemokraci oderwali się od partii socjalistycznej i znowu utworzyli własne stronnictwo pod nazwą socjalistycznej partii jedności (PSU). Rozłam wśród jednej z partii koalicji centrowo-lewicowej pociągnął za sobą dymisję gabinetu opartego o chrześcijańską demokrację, socjalistów i partię republikańską. U źródeł przesilenia był spór o stosunek do opozycyjnej partii komunistycznej. Socjaldemokraci domagali się, by koalicja, a zwłaszcza dość liczna grupa socjalistyczna, wyraźnie odcięła się od komunistów i zaprzęstała z nimi różnych zakulisowych rozmów. Do wybuchu kryzysu przyczynili się w dużej mierze sami komuniści. Zwalczali oni i atakowali rząd centrowo-lewicowy w nadziei, że po rozbięciu koalicji utworzą sobie drogę do udziału w rządach. Przebieg kryzysu zawiódł nadzieje partii komunistycznej. Kilkutygodniowe konsultacje prowadzone przez dotychczasowego premiera Rumora, upoważnionego przez Pałac Kwirynalski do sformowania nowego gabinetu, odsłoniły wprawdzie na nowo wszystkie słabości, spory i koterie w łonie obozu centrowo-lewicowego, ale ujawniły równocześnie, że na współpracę z komunistami, jako organicznymi partnerami nowej koalicji, nie ma amatorów. Zamiast pertraktacji na temat powierzenia komunistom kilku kluczowych tek w nowym rządzie spierano się o sposób wyjścia z kryzysu bez zasadniczej zmiany kursu polityki centro-lewu. Zarysowały się dwie konkretne możliwości: albo przedterminowe rozpisanie wyborów do parlamentu — co wcale komunistom nie dogadzało, albo utworzenie mniejszowościowego rządu chrześcijańsko-demokratycznego tzw. **monocolore concordato**, popieranego z zewnątrz przez socjaldemokratów, socjalistów i republikańców — co także przekreślało kalkulacje sztabu komunistycznego na via delle Botteghe Oscure w Rzymie. Przesilenie wykazało słabość koalicji centrowo-lewicowej, a nawet całego włoskiego ustroju demokratycz-

nego. Po kilkutygodniowym kryzysie powołano rząd, który składa się wyłącznie z członków partii chrześcijańsko-demokratycznej, a premierem został ponownie prof. Rumor.

## KRYZYS MUZEALNY

**C**ZY liczba muzeów dostępnych dla publiczności będzie we Włoszech stale maleć? — Oto pytanie, które stawia sobie prasa rzymska, donosząc, że na okres letniego sezonu turystycznego zamknięto wszystkie muzea, podlegające władzom miasta Rzymu. I tak np. znane muzeum napoleońskie mogłoby ściąggać dużą liczbę turystów włoskich i zagranicznych z uwagi na przypadającą w tym roku dwóchetną rocznicę urodzin wojowniczego Korsykanina. Uchodzi ono za najciekawszy — poza Francją — zbiór pamiątek po Napoleonie, ofiarowanych Rzymowi przez hrabiego Giuseppe Primoli, syna księżniczki Carlotty Bonaparte. Ekspozyty o dużej wartości historycznej i artystycznej zajmują siedemnaście sal w pałacu Primoli, ale nie ma personelu, który by strzegł tych zabytków i zajmował się ich konserwacją. W rezultacie nikt z Włochów czy cudzoziemców nie ma dziś dostępu do tych kolekcji. Na wiosnę bieżącego roku zamknięto także muzeum Barracco, słynne z archeologicznych i artystycznych zbiorów asyryjskich, babilońskich, egipskich i greckich. Przyczyna jest zawsze ta sama: brak środków pieniężnych na opłacenie wykwalifikowanego personelu. Dzienniki ujawniły, na przykład, że urząd opiekujący się starożytnościami i zabytkami sztuki w Rzymie otrzymuje od rządu dotację w wysokości stu milionów lirów, podczas gdy jego potrzeby wynoszą 500 milionów. Muzea, które są czynne, zdane są w dużej mierze na łaskę publiczności. Szef personelu muzeów rzymskich Saitta powiedział w wywiadzie prasowym, że w muzeach Kapitolu brakuje 10-u dozorców, w muzeum cywilizacji rzymskiej — dwunastu, a w Villi Borghese jest zaledwie jeden strażnik. Nie tylko musimy na lato zamykać istniejące muzea —

mówił Saitta — ale pakujemy do skrzyń i lokujemy w piwnicach cenne zbiory, nie mające równych na świecie. Już 29 lat temu zdemontowano **Antiquarium**, zawierające sprzęt domowy dawnych mieszkańców Italii. Ekspozyty ilustrowały sposób życia i obyczaje towarzyskie i obrzędy religijne Rzymian z epoki republikańskiej i imperialnej. Wojna przeszkodziła w urządzeniu tego muzeum, a po wojnie nie znaleziono pieniędzy na nowe odpowiednie pomieszczenie. Przykładów takich można by przytoczyć znacznie więcej. Prasa bije na alarm wskazując, że we Włoszech jest zawsze dość funduszy na festyny gastronomiczne lub międzynarodowe imprezy sportowe, a wciąż brak środków na ochronę zabytków archeologicznych i dzieł sztuki. Bez pomocy zagranicznej — piszą gazety — nie da się pomyśleć żaden poważny program kulturalny w tej dziedzinie.

## MODA W NIEZGODZIE Z WATYKANEM

**D**OPIERO latem tego roku wyszły na jaw ukrywane dotąd szczegóły bijatyki, jaka wydarzyła się trzy lata temu przy wejściu do bazyliki św. Piotra w Rzymie. Bohaterami incydentu byli turysta francuski Jacques Henri Moron oraz kilku żandarmów papieskich. Wszystko poszło o zbyt głęboki dekolt i o zbyt krótką mini-spódniczkę małżonki Morona, pani Jeanne z domu Malburn. Był wielki upał i mimo wrodzonej nabożności p. Jeanne udała się na zwiedzanie bazyliki w stroju bardzo niedostatecznym. Zwycięsko przedostała się przez główne wejście, ale wkrótce pojawił się, jak spod ziemi, żandarm pontyfikalny i brutalnie kazał jej opuścić bazylikę. Niebaczny, nie wiedział, że piękna turystka była z mężem, który w tym czasie zatrzymał się na chwilę przy wejściu kupując pamiątki. Żandarm nie wiedział również, że ów mąż był bokserem i że znał wszystkie sposoby walki KARATÉ. Dostrzegłszy jak żandarm szamoce się z jego żoną Moron, nie tracąc czasu kopnął go

(Dokończenie na str. 13)



# Wolność przynieśli żołnierze Pattona

W roku wielkich, bohaterskich rocznic pamięć nasuwa mi smutną, tym razem nie chwalebą rocznicę: wyjście oddziałów Komendy Głównej A.K. do niewoli niemieckiej w dniu 5-ym października 1944 roku. Zbiórka oddziału 6-go — Łączność Operacyjna — odbyła się na ul. Poznańskiej. Nasze mundury — to białoczerwone opaski. Smutna defilada przed gen. Borem na tyłach Politechniki i rzucanie wysłużonej, a tak trudno zdobytej broni powstańczej. Potem Filtrowa — zegnały nas wypalone oczodoły kamienic, plac Narutowicza pełen niemieckich mundurów i wreszcie długi marsz do Ożarowa. Choć układ kapitulacyjny gwarantował nam prawa kombatanckie i obozy jeńców wojennych, czy mamy dać temu wiarę? Czy wyjście z Warszawy i pożegnanie się z krwawo okupioną dwumiesięczną wolnością było marszem do niewoli, czy do obozów śmierci? Ten pochód, widomy, tragiczny epilog, którym kończył się nasz zryw gasił te myśli, nie pozwał zastanawiać się zbyt nad własnym losem. Ludność podwarszawska witała nas owacyjnie i nie zważając na gęsty konwój niemiecki podawała nam owoce i pomidory, dawno niewidziane przysmaki. Czułam, że wyglądam żałośnie z przewieszonymi przez ramię

dwiema walizkami, które nie wiadomo pociągnę. Niusia kroczyła z ukochanym swoim Bimbusiem na smyczy; do dziś dnia nie mogę pojąć, jak mógł się dotychczas uchować, że nie zjedliśmy go jako prawdziwie pożywnego dodatku do „plujki“. Marsz do Ożarowa trwał cały dzień, tam osadzono nas za drutami, w fabryce farb, gdzie wieczorem ułożyliśmy się do snu na podmokłej słomie. Dzień następny to czekanie bez nadziei na lepsze — stan chyba najgorszy w jakim można tkwić. Wieczorem załadowano nas do pociągu i tak rozpoczęła się ... droga do nikąd.

Metalowe bydzące wagony zimne w nocy, parzyły w dzień gorącym. Nasz wagon zaplombowany jak inne, miał mały otwór w drzwiach. Teraz nastąpił problem: jak rozwiązać b. przyziemne a jednocześnie b. istotne funkcje fizjologiczne? Wprawdzie każda z nas miała jakiś garnuszek, ale ten miał być ewentualnie przeznaczony do jedzenia, jeżeli Niemcy będą je chcieli nam przydzielić. Po długiej a wyczerpującej dyskusji i w obliczu wciąż rosnącej grozy zagadnienia — szczęśliwa posiadaczka dwóch naczyń wielkodusznie ofiarowała jeden na wspólny użytek. Ale radość trwała krótko: siedząca przy otworze Danka obciążona pełną po-

święcenia funkcją wypróżniania zawartości, gdy ta stała się zbyt... żenująca, lekkomyślna dziewczyna załamała się wyraźnie i wyrzuciła wszystko, z naczyniem włącznie. Pióro moje nie zdoła opisać reakcji. Uspiony wagon wypełnił z nagłą wzrastający szmer rozbudzonych czterdziestu głów kobiecych. Sytuacja zdawała się być bez wyjścia. Sen był zawsze moją słabą stroną, a okres powstania raczej nie sprzyjał zaspokojeniu tej potrzeby, to też celem przerwania wzbudzonych głosów, bez większego zastanowienia ofiarowałam swój jedyny garnuszek, aby służył ogólnemu wzniesieniu celowi. Ten dramatyczny samobójczy mój krok, ku mojej rozpacz nie przyniósł, niestety, upragnionej ciszy. Teraz moja osoba stała się przedmiotem ogólnego podziwu, zaczęto podkreślać moją postawę obywatelską i społeczną; przerwałam ten wdzięczny temat zapewnieniem, że jako człowiek ułomny będę wraz z wszystkimi korzystać z niego, a więc mój, zdawałoby się, szlachetny dar nie był pozbawiony zdrowego egoizmu.

Po dwóch dobach podróży wyładowano nas na malej stacji 8-go października. Dzień był słoneczny, wokół pola, nigdzie śladów wojny i zniszczeń; marsz kilkukilometry i otworzyły się przed nami bramy obozu jenieckiego Lamsdorf. Tak się zaczęła epopeja jeniecka pierwszych w historii kobiet-żołnierzy, jeńców wojennych. Muszę obiektywnie przyznać, że trudno było Niemcom w wielu wypadkach stosować do nas reguły Konwencji Genewskiej, bo gdzie znaleźć paragraf w odniesieniu do oficera w daleko posuniętym poważnym stanie? A faktem niezaprzeczoną było, że urodził zdrowego synka.

Teraz Niemcy zaczęli nas wozić po różnych obozach, niebardzo wiedząc, gdzie nas umieścić. W pierwszych dwóch miejscach miałyśmy wydzielony teren w obozach męskich. Nasze pojawienie się wywołało zbyt duże poruszenie w sektorach obozu męskiego, pomimo zasieków z drutu kolczastego, fosy i

## KALEJDOSKOP...

i uwolnił małżonkę. Żandarm, postępując i widząc, że sam nie da rady, wezwał na pomoc kolegów. Ale dzielny Moron szybkimi ciętami kładł po kolei każdego na płyty bazyliki. Dopiero silny oddział watykańskiej straży porządkowej skłonił Francuza do kapitulacji. Na podstawie paktów Lateraneńskich wydano go poliji włoskiej. W więzieniu Ara-Coeli komisarz republiki spisał protokół i wypuścił Morona na wolność. W trzy lata później odbyła się rozprawa przed sądem włoskim w Rzymie. Oskarżony Moron nie przyjechał do Wiecznego Miasta. Jego adwokat bez trudu przekonał sędziego, że Francuz bez względu na to czy kopnął czy nie — nie podpada

pod jurysdykcję sądów włoskich. Pakty Lateraneńskie — mówił adwokat — przewidują w artykule 22-im, że Włochy będą wymierzać kary za przestępstwa popełnione na terenie Stolicy Apostolskiej. W danym jednak wypadku — stwierdził obrońca — Watykan nie wystąpił z żadnym oficjalnym wnioskiem. Skargi kopniętych żandarmów papieskich oddalono. Francuzi triumfują. Moron powiedział: *il y a encore des juges a ... Rome.*

Ostatnio nie wpuszczono do Bazyliki św. Piotra, również z powodu zbyt krótkiej sukienki, księżniczki Paoli, szwagierki króla belgijskiego.

F. Ch.

(Dokończenie na str. 14)

# W NOWOGRÓDZKIEJ STRONIE (IV)

## POD ZNAKIEM SWASTYKI

**P**IERWSZE słowa jakimi nazajutrz powitała Ewę gospodyni były wyrazami zachwyty nad Niemcami.

— Co to za szczęście, że przyszli i uwolnili nas od bolszewików!...

Radość gospodyni usprawiedliwiona była tym, że i ona i jej czworo dzieci figurowały na liście do wywiezienia jako rodzina aresztowanego policjanta. Przed kilku dniami Ewa widziała jak pakowali cały swój dobytek w tobołki zaszywane mocnymi nićmi. Oczekiwali w każdej chwili wywiezienia. Kilka sąsiednich wsi otoczyli już bolszewicy wojskiem i w momencie, kiedy Niemcy uderzyli rozpoczęło się wywożenie.

Wszyscy lokatorzy więzienia w Nowogródku zostali zabrani w kierunku Mińska w pierwszym dniu wojny. Tam, kiedy bombowce nie-

mieckie poczęły obrzucać bombami jadący pociąg, obsługa zostawiła transport na łasce losu. Strażnicy uciekli, więźniowie rozbiegli się na wszystkie strony. Stary policjant wędrował przez linię frontu z tobołkiem na plecach, odmawiając litanie do Najświętszej Panny. Samoloty niemieckie bombardowały szosę — a on szedł. Do piwnicy na plebanii, w której nocował, wrzucili Niemcy granat ręczny, ponieważ ktoś, gdzieś, strzelił do niemieckiego żołnierza. Stary wyszedł cało i ruszył w dalszą drogę. Wrócił przed kilku dniami. W mieście powiedziano mu, że rodzina została już wywieziona. Poprawił tobołek na plecach i poszedł przekonąć się na własne oczy. Ewa była świadkiem jego powrotu. Widziała jak ukląkł przed płotem, ucałował ziemię i modlił się dziękując Bogu,

że pozwolił mu wrócić i zastać rodzinę na miejscu. Potem wstał i zaczął witać się z żoną i dziećmi.

Rozumiała ich uczucia, ale nie mogła wstrzymać się od uwagi:

— Poczekajcie trochę z pochwałąmi. Nie są wcale lepsi od bolszewików.

— Nikt nie może być gorszy od bolszewików! — rzuciła z zaciętością gospodyni. — Diabeł lepszy od nich!...

Po południu Ewa poszła z Moniką do Celiny.

— Czy panj wie, że widziałam dzisiaj porucznika? — rzekła Celina usadowiwszy gości na pleddie rozłożonym na łące przed domem.

— Tak?

— Mielśmy przecież iść z Wrońskimi na wieś po chleb i masło. Ale tyłu żołnierzy kręciło się po okolicznych wsiach, że odłożyliśmy to na jutro... Więc poszliśmy z porucznikiem na spacer w pole. Był smutny... Mówił, że będzie tu przyjeżdżał co niedzielę. Położyłam mu kabałę. To dziwne. Nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Zupełnie jakby nie było wojny... Wie pani co mi powiedział? ... Że wojna nie jest nic warta, ani sława, ani pieniądze... Tylko dobra żona będzie miała wartość, która będzie kochała jego dzieci...

— Widocznie nie wszystko, co mówiłam, poszło na wiatr — odpowiedziała Ewa.

\* \* \*

W kilka dni później Polski Teatr Kukulek wyruszył pieszo do Warszawy. Szli sporą gromadką, objuczeni bagażami, ale pełni humoru i młodości. Żydzi spoglądali za nimi żałośnie. Jakże chętnie powędrowaliby z tą młodzieżą w jakieś bezpieczne miejsce, gdzie by nie było swastyki, żółtych łat, getta i tego, co z przyszłości spoglądało na nich złowrogo w okropnych snach i w przeczuciach bezsennych nocy. Uciec przed strachem!... Ale w Europie nie było miejsca dokąd Żyd mógłby uciec przed strachem. Dlatego trwali na miejscu.

W 39-tym roku uciekali. Rzucali cały dobytek i przekradali się przez

## WOLNOŚĆ ...

półkilometrowej odległości. Każda z nas wyglądała na bóstwo w oczach mężczyzn, przebywających w niewoli od czterech lat.

Wśród naszych wyższych stopniem oficerów obudził się duch kozarowy: postanowiły z nas zrobić regularne wojsko. Zaczęto ćwiczyć marsz, salutowanie w miejscu itp. U wielu moich koleżanek ideał sierżanta-szefa zabił poczucie rzeczywistości i zmysł humoru.

Po przebyciu dalszych dwóch obozów i wysłaniu części do obozu pod Holandię, pozostałych 200 osadzono w smutnym podmokłym obozie Molsdorf w Turyngii. Tam przebywałyśmy 5 miesięcy, odcięte od świata i ludzi. Tylko nocne wielogodzinne przeloty bombowców alianckich napawały nas otuchą, że może powrót do kraju, bliski. O ofensywie rosyjskiej i o losie kraju żadne wieści nas nie dochodziły. Gdy oddziały Pattona zaczęły zajmować Turyngię i słychać już było odgłosy walki, Niemcy postanowili nas ewakuować. Apel nastąpił w nocy, a nad ranem wyruszyliśmy pod silnym konwojem w głąb Turyngii. Była już wiosna. Turyngia to piękny zakątek Niemiec. Wojna tu

jeszcze nie dotarła. Mijałyśmy bogatą wieś i piękne lasy. Postawa ludności miejscowej była b. nieprzychylna. Po dwóch dniach trudnego marszu dotarłyśmy do obozu kobiecego Hitlerjugend. Obóz był wzorowo zagospodarowany i tylko kilka Niemek spośród dawnych mieszkanki.

Po paru dniach pobytu i oczekiwaniu na wyzwolenie usłyszałyśmy wreszcie strzały — armia Pattona była już blisko. W obawie, że obóz może być ostrzelany, wywiesiłyśmy białą chorągiew na maszcie obozowym, same pozostając w barakach. W momencie oczekiwania nagle zjawiała się przy maszcie niemiecka dziewczyna. Zdjęła białą flagę w widocznym własnym przekonaniu, że na obozie Hitlerjugend biała flaga powiewać nie może. Było nas 200 Polek w obozie, niemal niestrzeżonym, a armia amerykańska o parę kilometrów marszu. Nikt tej samotnej dziewczynie nie przeciwdziałał. My, żołnierze A.K. umiałyśmy ocenić od wagę i dumę narodową, nawet u wroga.

Za kilka godzin przyszła wolność, przyniesiona przez wspaniałe bojowe oddziały gen. Pattona.



zieloną granicę tutaj, gdzie Żyd był w teorii równoprawnym, w praktyce — uprzywilejowanym obywatelem.

— Nie mogłam znieść getta i złotej przepaski — żaliła się kiedyś Ewie utalentowana aktorka.

Nie wszystkim jednak udało się ostać na tych ziemiach, znaleźć dach nad głową i pracę.

Ewie utkwił w pamięci zupełnie tragiczny wypadek. Gmina żydowska w Grodnie pomieściła największą biedotę spośród uciekinierów żydowskich w gmachu bóżnicy. Żeby zarobić na kawałek chleba nędzarze ci handlowali czym się dało. Ewę skierowano tam po omydło, którego nie można było dostać w sklepach. Przeraziła ją nędza tych uciekinierów. Na twardych, drewnianych ławkach leżały garści słomy. Na nich koczowali ludzie w łachmanach, przeświecający nagim ciałem, brudni, zawszeni, lamentujące kobiety, płaczące dzieci... Ci nawet nie potrzebowali zapisywać się na powrót, jak to czyniło wielu Żydów rozejrzawszy się w stosunkach pod bolszewicką okupacją, co przyplacili w czerwcu wywiezieniem do Rosji. Nie, o losie tych nędzarzy zdecydowano bez nich. Bóżnicę obstawiało wojko i wśród rozdzierających lamentów załadowano tę nędzę na samochody. Pojechali na Syberię w łachmanach, bez kawałka chleba.

Czasem zdarzało się, że mimo groźby złotej łaty wracali Żydzi przez zieloną granicę do niemieckiej okupacji Ewa pamiętała wypadek, który zdarzył się we Lwowie na początku 1940-go roku. Był on dla niej jakby tragicznym symbolem doli żydowskiej.

Zamożny, inteligentny Żyd z Łodzi przeszedł zieloną granicę i dotarł do Lwowa. Spędził tam jakiś czas i postanowił wracać.

Zgodzony przewodnik miał przyjść nazajutrz o świcie. Start do życia z złotą łatą jako podczłowiek... Żyd ów nie wystartował jednak. Przewodnik zastał go już zimnego. Powiesił się na własnych szelkach. Oszczędził sobie morza cierpień, przez które przebrnąć musieli jego współwyznawcy przed śmiercią.

Polacy na tych ziemiach i w okresie rządów młota i sierpa byli rozgoryczeni postawą Żydów pod okupacją bolszewicką. Ewa występowała często w ich obronie.

— Gdyby mieli ojczyznę, byłiby inni — mówiła. — Naród bez ojczyzny jest narodem psychicznie okaleczonym. Na glebie pogardy i nienawiści nie mogą wyrosnąć cnoty obywatelskie!...

Zdarzały się jednak wypadki cichego bohaterstwa Żydów, tym bardziej wzruszające, że zupełnie bezinteresowne. Któżby sławił bohaterstwo Żyda?...

Był taki wypadek w Białymstoku. W okresie paszportyzacji należało zgłosić swą narodowość. Oczywiście, wszyscy Żydzi, chcąc nie chcąc, otrzymywali w tej rubryce określenie „Jewrej“. Było to taktyczne posunięcie władz bolszewickich, bo zmniejszało znacznie ilość Polaków na ziemiach, które „dobrowolnie“ zgłosiły przynależność do ZSSR. Większość nie broniła się przeciw tej zmianie narodowości. Wierzyli, biedacy, w siłę bolszewickiej Rosji i w wiecznotrwałość sojuszu Mołotow-Hibbertrop.

Ale znalazł się jeden, który zaprotestował: był Polakiem.

— Zastanów się dobrze, co robisz — powiedział mu milicjant — i złóż podanie czarno na białym, że chcesz być Polakiem.

— Dobrze, napiszę podanie.

Tego samego dnia, w którym podanie zostało złożone, w nocy, załotały kolby do jego drzwi. Wyprawiono go. Gospodyni jego, a zwłaszcza Ewy, nie ujrzała go więcej.

W kilka dni po wejściu Niemców do Nowogródka Ewa spotkała na ulicy znajomego adwokata, starego Żyda, którego poznała przypadkowo w Teatrze Kukielek. Miał na piersiach i plecach złotą łatę i usiłował wyminąć Ewę nie zwracając jej uwagi. Ta złota łata czyniła z niego podczłowieka, tworzyła kompleks niższości.

— Dzień dobry panu, zawołała Ewa.

Zatrzymał się i podbiegł do niej z radością, jakby przywróciła mu całą utraconą godność ludzką. Rozmawiali przez chwilę. Należał do zarządu gminy żydowskiej.

— Żle jest z nimi — mówił szepciem — komendant placu zażądał, żeby gmina dostarczyła mu koniecznie koszulkę trykotową i kawałek mydła toaletowego... Takich rzeczy im brak!...

Ewa pomyślała jak nikłych argu-

mentów czepia się nadzieja ludzka. Nie powiedziała jednak nic na ten temat. Przynęła odwiedzić go w najbliższym czasie.

— Do widzenia panu i — trzymajmy się — rzekła serdecznie. — Przetrywamy wszystko!...

— Przetrywamy!... — zawołał ścisłkając jej rękę z niezwykłą siłą, jakby chciał nadać tym słowom moc zaklęcia.

Niestety, nie przetrwał. W dwa dni później Ewa usłyszała o rozstrzelaniu większej ilości Żydów. Zaszła do mieszkania starego adwokata. Była tam tylko głucha staruszka, jego siostra. Brata nie ma, zabrali go dzień rano razem z młodszym synem...

— Dokąd? — zapytała Ewa.

— Nie wiem... Chyba na roboty... — bełkotała stara kobieta patrząc jej pilnie w oczy.

Ewa nie widziała ich już więcej. Nie wrócili.

\* \* \*

Mimo głębokiego współczucia dla Żydów, tam gdzie chodziło o los dziecka i jej własny — Ewa patrzyła ufniej w przyszłość niż za bolszewików. Otwierała się przed nią droga powrotu do Warszawy. Poszła w tej sprawie do komendanta placu. Był to młody oficer SS. Wierzył, że Moskwa padnie lada chwila i — jak mówiono Ewie — podpisywał bez wahania wyroki śmierci. Wszyscy funkcjonariusze NKWD i milicji, którzy dostali się w ręce niemieckie, byli natychmiast rozstrzeliwani. Mówiono Ewie, że — co jej się wydawało wyjątkowym okrucieństwem — nawet Bogu ducha winne kobieciny wiejskie, które wybrano do rad gminnych, były karane śmiercią. Rozstrzeliwano również i tych z miejscowej ludności, u kogo znaleziono w większej ilości mienie publiczne zagrabione w fabrykach i upaństwowionych sklepach.

Biuro komendanta sprzątało Żydzi naznaczeni złotymi łatami. On to prawdopodobnie zdecydował o losie starego adwokata i innych Żydów nowogródzkich.

Przepustkę do Warszawy mógł dać, oczywiście, ale radził czekać aż zostanie przywrócone połączenie z Baranowiczami. Jakże inaczej pojedzie? Rzeczywiście, jak jechać z dzieckiem bez kolei i pieniędzy?

W trzy tygodnie później siedzieli

(Dokończenie na str. 16)

Ille, ut depositi proferret fata parentis  
Scire potestas Herbarum usumque

medendi  
Maluit et mutas agitare inglorious artes.  
Virgil Aeneid. XII

Japis wszelako, ocalić chcąc ojca,  
śmiertelnie chorego,  
Przeniósł nad tamte kunszty znajomość  
ZIÓŁ pożytecznych  
Wiedzę lekarską i służbę gorliwą  
sztukom mniej głośnym.  
(tłum. I. Wieniawski)

**O**DROBINĘ szczęścia w miłości,  
jak wdychała niezapomniana  
Zula Pogorzelska, można spożytko-  
wać z wdzięcznością. Na pewno nie  
zaszkodzi, chociaż miłość da sobie  
radę bez niej. W odkryciach nauko-  
wych, zwłaszcza medycznych, jest  
warunkiem decydującym.

Te głębokie myśli przysły mi do  
głowy, gdy otrzymałem zawiadomie-  
nie o posiedzeniu „Royal Society of  
Medicine“, zwołanym na dzień 3  
czerwca br. celem wyboru honoro-  
wych członków. Wśród kandydatów  
znalazłem nazwisko: Prof. Ernst  
Boris Chain F.R.S.Ph.D. A więc  
nawet nie lekarz — ot zwykły dok-  
tór filozofii.

Wiadomość ta poruszyła mnie je-  
dnak i nieco zastanowiła. Dlaczego  
tak spóźniony ten zaszczyt, kiedy  
zasługę uznano 30 lat temu? Czyż-

#### W NOWOGRÓDZKIEJ STRONIE ...

razem z matką i Moniką na wynają-  
tej furce i jechały w stronę Barano-  
wicz. W międzyczasie przyszyła bo-  
wiem do Nowogródka matka Ewy.  
Przeszła oblężenie Mińska i pożar  
miasta. Nie tylko bomby i bombardo-  
wanie niemieckie powodowały pożar  
w mieście. Robiło to również NKWD  
niszcząc archiwa i ślady swej zbro-  
dniczej działalności. Od Baranowicz  
przywędrowała piechotą do Nowo-  
gródka. Przyszła spalona słońcem,  
wychudła, z tobołami, które dźwigała  
na plecach. Przeprowadziła z sobą  
aż z Mińska młodą Żydówkę, wraca-  
jącą do rodziców. Twarz dziewczyny  
wywoływała czasem ciche uwagi to-  
warzyszki podróży w pociągu, którym  
dojechały z Mińska do Baranowicz,  
lub też napotykanym po drodze wie-  
śniaków. Wówczas matka Ewy za-  
ręczała gorąco za jej polskość.

— Chodziłam z nią przecież razem  
do kościoła w Warszawie!... — kła-  
mała dla dobrej sprawy.

FRYDERYK GOLDSCHLAG

## Saga o dobroczyńcy

by jakieś zakulisowe względy lub  
intrygi decydowały nawet w tym  
środowisku?

Pośpieszna ankieta wśród moich  
przyjaciół uświadomiła mi znamien-  
ny fakt, że żaden nie zdawał sobie  
sprawy o jaką chodzi osobistość. A  
przecież pytałem o jednego z gigan-  
tów współczesnej nauki, o jednego  
z nieśmiertelnych dobroczyńców  
ludkości. Jego udział zadecydował  
o powodzeniu najdonioślejszego od-  
krycia, otwierającego nowy, świetny  
rozdział w lecznictwie. Nawet suro-  
wi sędziowie z przysłowiową wagą  
w rękę przyznały mu jedną trzecią  
nagrody Nobla. Dwaj inni wyróżnie-  
ni to Alexander Fleming i Howard  
Florey.

Że dzisiaj przeciętna długości ży-  
cia wynosi 67-69 lat zawdzięczamy  
poniekąd szczęśliwemu przypadkowi.  
Ze sprawozdania naocznego świadka,  
prof. Merline Pryce, wiemy, że,  
gdy wszedł pewnego poranku 1928 r.  
do skromnego laboratorium profesora  
Wrighta, w St. Mary's Hospital,  
zastał młodego bakteriologa Fleminga,  
zajętego oglądaniem szalek Pe-  
triego. Są to drobne płaskie naczy-

nia z pożywką do hodowania bakte-  
rii. (W jednym z nich obok groźnych,  
opornych na wszelkie leczenie gron-  
kowców czy paciorkowców rosły rów-  
nież pleśniaki, pochodzące z przy-  
padkowego zanieczyszczenia. Uważ-  
ny Fleming nie odłożył jej do in-  
nych, lecz z ożywieniem komentował  
szczególne zachowanie się bakterii.  
W najbliższym sąsiedztwie pleśnia-  
ków nie pozostał ślad po nich. Młody  
Szkot powziął natychmiast podejr-  
zenie, że zachodzi antagonizm mię-  
dzy dwoma rodzajami żyjątek, co  
należy wykorzystać w leczeniu chorób  
zakaźnych. I to był początek odkry-  
cia penicyliny, najbardziej drama-  
tycznego wydarzenia w historii no-  
wożytnego lecznictwa.

Pleśniaki należą do wielkiej rodzi-  
ny grzybów (fungi, mycetes), typu  
cudzożywnych organizmów **roślin-  
nych**, obejmujących około 80 tysię-  
cy (!) gatunków. Że właśnie jeden  
z nich, szczególnie skuteczny, zna-  
lazł się na szalce i nie uszedł uwagi  
Fleminga, należy uważać za przypa-  
dek, graniczący z cudem.

Nie mniejszym cudem było konse-  
kwentne odmierzanie raz obranej  
drogi, usłanej głazami i cierniami.  
Tylko geniusz pokroju Fleminga,  
wytrwałego, upartego, nieustępli-  
wego, wręcz opętanego badacza,  
przekonanego niezachwianie o słusz-  
ności swej tezy, mógł ją przebyć.  
Jego doniesienia w pismach lekar-  
skich lekceważono, jego odczyty w  
naukowych towarzystwach zbywano  
zimnym milczeniem, stokroć gor-  
szym od jawnego sprzeciwu. Jego  
własny szef, światowej sławy mi-  
krobiolog, nie taił swego sceptycy-  
zmu.

Fleming nie znał się ani na miko-  
logii (dział botaniki zajmujący się  
grzybami) ani na chemii. Skazany  
był przy braku środków i należyte-  
go wyposażenia laboratorium na pomoc  
często amatorską. Stwierdził niezbi-  
cie, że bakteriobójcza materia, wy-  
dzielana przez pleśń, przenika do  
płynu pożywkowego i że nawet zna-  
czne rozcieńczenie nie osłabia jej  
siły. Z wielkim natomiast rozczaro-  
waniem ustalił, że tylko jeden, rzadki  
rodzaj pleśniaków tzw. pędzlak  
(penicillium notatum) zasługuje na

K. Brzozowska



# wdzięcznej ludzkości

uwagę. Inne, nawet blisko pokrewne, okazały się bezsilne. Należało więc dbać starannie o przechowanie i dalsze hodowanie przypadkowego szczepu, gdyż znalezienie nowego nie powiodło się.

Jako lekarz i immunobiolog wiedział dobrze, że do celów leczniczych należy posługiwać się jedynie wyciągiem, wolnym od wszelkiego zanieczyszczenia, zwłaszcza ciałami białkowymi. W przeciwnym bowiem wypadku grożą katastrofalne reakcje ze strony organizmu, uczulonego pierwszym zastrzykiem. Dwaj młodzi entuzjaści, Craddock i Ridley, przyswoiwszy sobie elementarne wiadomości z podręczników chemii, zabrali się z zapałem do dzieła. Pracowali tak znakomicie, można rzec wręcz genialnie, że załamali się dopiero przed bliskim już celem. Pasteur miał jednak rację. Głosił stale, że szczęście dopisuje jedynie przygotowanemu nań umysłem. Na język potoczny ta mądrość przełożona ostrzega, że tylko gruntowna, fachowa wiedza może liczyć na cud.

Nie lepiej jednak powiodło się chemikom tej właśnie kategorii. Złośliwe przypadki i szczególnie pech sprzyściły się przeciw Flemingowi, skazanemu na coraz częstsze dowody lekceważenia a nawet złośliwości.

Na dobitkę inny geniusz, Niemiec Domagk, pragnąc ratować swoją umierającą córkę, chwycił się rozpaczliwego pomysłu i podał jej w przygotowaniu dopiero będący, jeszcze nie wypróbowany preparat, prontosil (środek chemiczny z grupy sulfonamidów). Cały świat naukowy, zaelektryzowany tym epokowym wynalazkiem, przerzuca się na gorączkowe badanie działania barwników, a wielki przemysł gotuje się do gigantycznej kampanii. Budzi się radosne przekonanie, że marzenie Pawła Ehrlicha o „magic bullet“, zabijającej bakterie, a oszczędzającej człowieka, doczekało się wreszcie realizacji. Nikt nie ma czasu ani cierpliwości na zajmowanie się kapryśnymi, nie apetytnymi grzybami jakiegoś szkockiego fantasty.

I tak płynęły lata. W r. 1939 znaleźli się w Oxfordzie dwaj odmienni

wyglądem i temperamentem uczeni. Prof. H. Florey, patolog, pochodził ze słonecznej Południowej Australii, w każdym calu nordycki, konserwatywny, anglosaski gentelman. Boris Chain urodził się na mroźnej i śnieżnej północy, z ojca Żyda rosyjskiego i matki Niemki. Zwracał uwagę swą ciemną cerą, bujnym owłosieniem, żywością ruchów i zmysłem humoru. Zajmował się w Berlinie chemią, w r. 1933 uciekł przed Hitlerem i studiował w Anglii biochemię. Ktoś poznał się na nim i polecił go Floreyowi. Ten w r. 1939 przypomniał sobie pracę legendarnego Fleminga, zapewnił sobie dotację z funduszu Rockefellera i zaprzęgnął Boreasa do pług. Znawcy twierdzili, że wysiłek Chaina można było przyrównać do zdobywania Mont Everest. Po rozpaczliwych niepowodzeniach wpadł wreszcie na prosty a genialny pomysł. Zastąpił czysty alkohol metylowym i otrzymał upragniony, względnie czysty preparat. Dwaj niezależni uczeni, chirurg hiszpański Joseph Tueta i Anglik John Barnes wstrzyknęli dożylnie myszom stosunkowo dużą dawkę penicyliny Chaina. Myszy przeżyły zastrzyk, co rozstrzygnęło sprawę toksyczności. Penicylina okazała się nietrująca, okoliczność doniosłej wagi, gdyż preparat może być skuteczny, a przy tym wywierać niepożądane a nawet groźne objawy uboczne, jak np. streptomycyna. Dla pewności powtórzono raz jeszcze eksperyment, z równie dobrym rezultatem.

Im dalej w las tym więcej drzew. Na każdym kroku należało przezwyciężyć trudności natury technicznej. I znowu ten przysłowiowy, już nie łut, ale funt szczęścia. Pojawił się jak deus ex machina genialny chemik-laborant dr Heatley i dzięki jego pomysłowości i zaradczości robota ruszyła z miejsca.

25 maja 1940 r., w atmosferze wojennej klęski i paniki, przeprowadzono krytyczny, w historii medycyny złotymi zgłoskami zapisany eksperyment. Przygotowano dwie grupy myszy zakażonych bakteriami. Jednej wstrzyknięto penicylinę, drugą pozostawiono bez leczenia. Pierwsza

grupa pozostała przy życiu, druga padła jak jeden mąż, na polu chwały — nauki.

Czerwiec 1940 r. zapowiadał się fatalnie. Liczono się z inwazją, każdej chwili. Trzej muszkietery, Florey, Chain i Heatley ustalili plan strategiczny. Każdy miał szukać ratunku na własną rękę i każdy opuszczając laboratorium, miał zwilżyć podszewkę ubrania pożywką, zawierającą grzyby, aby, znalazłszy się w bezpiecznym miejscu, przeszczepić je natychmiast na świeżą pożywkę. Na szczęście nie doszło do tego. W lipcu odbyła się generalna próba, właściwie powtórzenie poprzedniego doświadczenia, Florey zainstalował się na noc w laboratorium, nastawił budzik alarmowy i zrywał się co godziny ze snu, aby zastrzyknąć myszom penicylinę. Po 16 godzinach leczone myszy pozostały przy życiu, kontrolne zaś zginęły. Rezultat ogłoszono urbi et orbi.

Z objawami przesadnej radości należało się jednak wstrzymać. Mysz to nie człowiek. Doświadczenia na ludziach są zawsze bardziej skomplikowane. No, i główna trudność — człowiek wymaga stokrotnej dawki. Skąd wziąć penicylinę? Pracowano dniem i nocą bez snu, jadła i spoczynku. Szpital oksfordzki zaklinał, aby ratować młodego, na posocznice beznadziejnie chorego policjanta. Wstrzyknięto mu przeto kilka żebrackich dawek penicyliny. Sezultat był zdumiewający, a jeszcze bardziej szczupły zapas penicyliny, wydobywał ją z moczu leczonego pacjenta. Preparat, jakkolwiek daleki od idealnego, okazał się nieszkodliwy i dla ludzi. Pierwsza runda zakończyła się świetnym zwycięstwem.

Jednym z entuzjastycznych, osobistych gratulantów był Alexander Fleming. Patrzono na niego jak na upiora. Spadkobiercy jego genialnej idei nie wiedzieli nawet, że należał jeszcze do żyjących.

O dalszej pracy w Anglii nie można było marzyć. Na każdym kroku piętrzyły się istotne i biurokratyczne trudności. Największe kłopoty przedstawiała sprawa znalezienia właściwej pożywki. Na dotychczasowej pleśniaki rosły tak wolno, że komercyjna produkcja, nawet na małą skalę, nie wchodziła w rachubę.

(Dokończenie na str. 18)

# NOWY REŻYMOWY KODEKS KARNY

Przywrócone do samodzielnego bytu państwowego w 1918 r. Państwo Polskie stosowało w zakresie materialnego prawa karnego odziedziczone po zaborcach ustawy karne dzielnicowe, których działanie skończyło się z wprowadzeniem jednolitego kodeksu karnego z 1932 r. W zakresie materialnego prawa karnego wojskowego obowiązywały początkowo ustawy karne dzielnicowe, od roku 1920 kodeks karny wojskowy niemiecki, a w 1932 r. wprowadzono jednolity kodeks karny wojskowy. Zamiast tego kodeksu reżym wprowadził kodeks karny Wojska Polskiego dekretem z 23 września 1944 r.

Z dniem 1 stycznia 1970 r. w „Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej“ ma wejść w życie kodeks karny z 28 kwietnia 1969 r., obejmujący przepisy materialnego prawa karnego a także część wojskową, mającą zastąpić wspomniany kodeks karny Wojska Polskiego.

Nowe reżymowe przepisy z zakresu materialnego prawa karnego doczekają się niewątpliwie szczegółowej krytycznej analizy i oceny. Na razie na łamach uchodźczej prasy polskiej zaczęły się już

ukazywać, krótkie z konieczności i bynajmniej nie wyczerpujące uwagi, dotyczące niektórych szczególnie rzucających się w oczy, powiedzmy, osobliwości nowej ustawy.

Zwykle kodeksy karne ustalają, że odpowiedzialności karnej podlega ten, kto dopuszcza się czynu zabronionego pod groźbą kary przez ustawę obowiązującą w czasie popełnienia tego czynu. Reżymowy kodeks karny w artykuł 1 do słowa „ten“ dodaje „tylko“. Takie ujęcie nie może nie zastanawiać. Jeżeli mówi się „tylko“, to domniemywać się można, iż jest do pomyślenia odpowiedzialność i bez dopuszczenia się wyżej określonego czynu, czyli przestępstwa. Takie domniemanie mogłoby być uznane za absurd. A jednak nie absurd. W Związku Sowieckim odpowiedzialność karna była (może jest?) możliwa i bez popełnienia czynu zabronionego pod groźbą kary w czasie jego popełnienia.

Istniało wszakże (istnieje?) określenie człowieka jako „społecznie niebezpieczny element“. Egzystencja w takim stanie nie była przewidziana jako czyn zagrożony karą. A jednak otrzymującego

taką etykietkę, administracyjnie, zazwyczaj, bez procedury sądowej, skazywano na szereg lat trzymania w „poprawczym obozie pracy“.

Mogę sam sobą służyć jako przykładem. Od urodzenia mieszkałem w Warszawie. Od 1907 roku pełniłem służbę w sądownictwie we wschodniej Syberii. W 1920 r. wróciłem do kraju i do 4 września 1939 r. mieszkałem w Warszawie. Wzięty do niewoli w dniu 17 września 1939 r. przez armię sowiecką, która tego dnia wtargnęła do Polski, byłem zazwyczaj administracyjnie skazany jako „socjalno opasny element“ na 8 lat pobytu w poprawczym obozie pracy, skąd zwolniono mnie na podstawie amnestii 8 marca 1942 r.

Można zatem przypuszczać, że czerpiący natchnienie i koncepcje prawne ze sfery sowieckiej reżym chciał podkreślić tym „tylko“, że systemu znanego u sąsiadów nie będzie stosował.

Reżymowy kodeks karny, wyłączając odpowiedzialność karną za działanie w obronie koniecznej, stanowi (art. 22, paragraf 2), że działa w obronie koniecznej w szczególności ten, kto wystę-

## S A G A ...

Florey udał się do Stanów i tam począł poszukiwania. Na jednej z konferencji pewien właściciel ogromnych zapasów syropu kukurydzianego, nie wiedząc, jak ich się pozbyć, zaproponował próbę. Ku powszechnemu zdumieniu i największej radości grzyby Fleminga produkowały na kukurydzy znacznie więcej penicyliny aniżeli na poprzedniej pożywce.

Przywiezione z Anglii grzyby okazywały jednak coś w rodzaju wyczerpania. Rozwijały się tak wolno, że uniemożliwiały wszelką kupiecką kalkulację. Rozpoczęto więc tropienie cennego pędzłaka w każdym miejscu świata, gdzie znalazły się oddziały armii amerykańskiej. Wszelki tak znaleziony i dostarczony materiał nie odpowiadał jednak wymaganiom. Zaangażowano więc młodą dziewczynę, przezwaną ją „Mouldy Mary“ i wysyłano na przespiergi do domów towarowych i na rynki owocowe. Gdziekolwiek zauważyła pleśń na towarze, kupowała go lub wykradała z wiadra ma odpadki. I tak razu pewnego zdobyła nadgniły, spleśniały melon. Wyhodowano z niego gatunek penicilium chrysogenum o herkulesowej potencji.

Dopiero wówczas, z wielkim trudem

i subtelną dyplomacją, udało się nakłonić poważniejsze firmy do podjęcia produkcji, która miała przynieść im biliony. W 1945 r. na bankiecie w Waldorf ofiarowano Flemingowi prezent w wysokości 100.000 dolarów. W myśl jego życzenia obrócono tę kwotę na potrzeby laboratorium szpitala St. Mary.

Lawina zaszczytów i wyróżnień spadła na skromnego bakteriologa. W 1943 roku mianowano go Honorary Fellow of the Royal Society, w 1944 r. otrzymuje tytuł szlachecki, w 1945 r. przyznaje się trójce Fleming, Flore, Chain nagrodę Nobla. W tym roku zostaje członkiem Francuskiej Akademii Medycyny, w 1949 roku, po audiencji u papieża, członkiem Akademii Pontyfikalnej.

Swoją glorię naukową zawdzięczał, nie na ostatnim miejscu, uregulowanym warunkom życia prywatnego. Sarah Fleming, z zawodu pielęgniarka, zamożna właścicielka ekskluzywnej lecznicy, okazała się przykładną żoną. Prowadziła doskonale dom, dbała o męża i syna, łagodziła lub usuwała wszystkie prywatne kłopoty swego genialnego męża. Spędził przy jej boku 35 lat i zdawał

sobie sprawę, że przetrzymał wszystkie burze jedynie z jej pomocą i wiarą. Sarah nie była intelektualistką i nie miała zrozumienia dla problemów naukowych. Jej wystarczyło żarliwe przekonanie, że Alexander przewyższa innych wiedzą i rozumem. Fleming był naturą skrytą i rezerwową. Nie miał przyjaciół, którym mógł się skarżyć. Odczuwał brak partnerki, z którą warto byłoby dzielić się fachowymi troskami.

I to życzenie miało się spełnić. Po śmierci Sary znalazła się w laboratorium mistrza wybitnie zdolna Greczynka, Amažia Voureka, kierowniczką instytutu bakteriologicznego w Atenach. Fleming zakochał się i zyskał wzajemność damy. Pojechał po nią do Aten, gdzie witano go z królewskimi honorami. Małżeństwo było nad wyraz szczęśliwe, trwało niestety zaledwie 3 lata. Fleming zmarł w 1952 roku, pochowano go w krypcie kościoła św. Pawła, w miejscu, przeznaczonym dla szczególnie zasłużonych. I tak jest godny koniec sagi o przykładowym dobroczyńcy wdzięcznej ludzkości.

Fryderyk Goldschlag



puje w celu przywrócenia porządku lub spokoju publicznego, chociażby to nie wynikało z obowiązku służbowego.

Tak rozszerzono prawo obrony koniecznej, gdy kodeks karny z 1932 r. ustala możliwość działania w obronie koniecznej przez odpieranie bezpośredniego zamachu tylko na jakiegokolwiek dobro własne lub innej osoby (art. 21 paragraf 1).

Przytoczony wyżej przepis reżymowy jest wyraźną zachętą do brania przez obywateli na siebie roli organów władz państwowych powołanych do zapewnienia spokoju i porządku publicznego (milicja, ewentualnie wojsko). Stanowi to naśladowanie sowieckiego kodeksu karnego uważającego za obronę konieczną działanie przeciwko zamachom na władzę sowiecką (art. 13 kodeksu karnego R.S. F.S.R. w redakcji z 1920 r.). Według art. 26 kodeksu reżymowego nie stanowi przestępstwa czyn, którego społeczne niebezpieczeństwo jest znikome.

Takie ogólnikowe ustalenie warunków niekaralności będzie źródłem większej lub mniejszej (raczej większej) dowolności w postępowaniu sądów.

Przepis art. 27 paragraf 1 stanowi o warunkowym umorzeniu postępowania gdy stopień społecznego niebezpieczeństwa czynu nie jest znaczny, okoliczności jego popełnienia nie budzą wątpliwości, a postawa sprawcy nie karanego za przestępstwo, jego właściwości i warunki osobiste oraz dotychczasowy sposób życia uzasadniają przypuszczenie, że pomimo umorzenia postępowania będzie przestrzegał porządku prawnego, w szczególności nie popełni nowego przestępstwa. Zastosowanie warunkowego umorzenia postępowania jest dopuszczalne, jeżeli przestępstwo jest zagrożone karą nie przekraczającą 3 lat pozbawienia wolności. Ta nowa instytucja budzi poważne wątpliwości. Nadaje ona sądom prawo decydowania o stosowaniu umorzenia (ustawodawczy akt łaski, nakazujący niewyszczynianie lub umorzenie postępowania karnego za określone przestępstwa, uchwalany zwykle razem z amnestią).

Powierzenie sądom decydowania o stosowaniu umorzenia będzie prowadziło do dowolności postępowania, jeżeli nie do nadużyć

Według kodeksu karnego z 1932 r. istniała kara śmierci, która groziła za zbrodnie stanu (art. 93 i 94), za zbrodnie przeciw interesom zewnętrznym państwa i stosunkom międzynarodowym (art. 101 i 102), za zbrodnie zabójstwa (art. 225).

Według kodeksu karnego wojskowego z 1932 r. kara śmierci groziła za przestępstwa przeciw obowiązkowi wierności żołnierskiej (art. 34, 35, 36, 37, 39),

za czynne targnięcie się na przełożonego w obliczu nieprzyjaciela lub jeżeli wynikiem targnięcia się była śmierć przełożonego (art. 55), za udział w spisku (art. 64), za wprawienie się w stan niezdolności pełnienia służby w szczególnych okolicznościach (art. 81).

W części wojskowej reżymowego kodeksu karnego kara śmierci jest przewidziana za odmowę wykonania rozkazu lub wykonanie go niezgodnie z treścią w sytuacji bojowej (art. 310).

Tu należy zwrócić uwagę na ujęcie przez kodeks reżymowy istoty czynu, polegającego na niewykonaniu rozkazu lub wykonaniu go niezgodnie z jego treścią.

Według ustawodawstwa polskiego mogło tu chodzić jedynie o rozkaz w sprawach służbowych (art. 59 k.k.w. z 1932 r.), a nie o każdy rozkaz. Ustawodawstwo rosyjskie uważało za przestępstwo niewykonanie każdego rozkazu przełożonego, co doprowadzało do wykonywania rozkazów bezsensownych lub nawet nakazujących popełnienie czynów przestępnych.

Można by przytoczyć przykłady, stanowiące prawdziwe curiosa.

Kodeks karny reżymowy nazywa karę śmierci karą zasadniczą o charakterze wyjątkowym, przewidzianą za najcięższe zbrodnie. Ten sposób określenia kary śmierci jest jakby tłumaczeniem się i usprawiedliwianiem się z powodu ustanowienia tej kary. Ale to nie zmienia faktu objęcia przez reżymowy kodeks karny kary śmierci.

Reżymowy kodeks karny wprowadza nową karę nie pozbawienia, lecz tylko ograniczenia wolności na czas od 3 miesięcy do 2 lat, wymierzaną w miesiącach lub latach (art. 33). Ta kara polega na niemożności bez zgody sądu zmiany miejsca pobytu, na obowiązku wykonywania nieodpłatnej dozorowanej pracy na cele publiczne w wymiarze od 20 do 50 godzin miesięcznie lub na obowiązku osoby zatrudnionej w uspołecznionym zakładzie pracy podlegania otrzymywaniu za pracę wynagrodzenia z potrąceniem z niego od 10 do 25% na rzecz skarbu państwa lub na cel społeczny wskazany przez sąd, na niemożności w okresie odbywania kary rozwiązania bez zgody sądu stosunku pracy, na niemożności w okresie odbywania kary otrzymania wyższego wynagrodzenia lub też przeniesienia na wyższe stanowisko (art. 34). Przy wymierzeniu omawianej kary sąd może zobowiązać skazanego do naprawienia w całości lub w części wyrządzonej przestępstwem szkody i do przeproszenia pokrzywdzonego (art. 35).

Ta nowa kara ma mieć charakter wychowawczy, a przewidziana jest w 18 artykułach.

Twierdzenie reżymowych ustawodaw-

ców, iż nowa kara ograniczenia wolności mieć będzie charakter wychowawczy, nie wydaje się słuszne.

Taki wpływ mógłby być osiągalny, gdyby nowa kara była środkiem wpływu na psychikę ukaranego, powodującego, że ukarany uzna konieczność postępowania zgodnego z dobrem i moralnością. Ustanowiony nowy sposób ukarania stawiał będzie skazanego w sytuacji upośledzonego, przebywającego w środowisku pełnoprawnych, za kopcieszka, za jakby niewolnika. Sam odwet w postaci kary nie może służyć jako środek wychowawczy, tak jak cielesne karanie dzieci nie może być uznane za środek ich wychowania.

Już tylko przytoczone okoliczności dają podstawę do wniosku, że „nowa“ kara, nie nadaje się jako instrument do poprawy. Dodać trzeba, iż naprawienie szkody nie jest elementem kary, lecz może być przedmiotem akcji cywilnej, a „przeproszenie“ jest aktem bez treści.

To wszystko chyba wystarczy, aby uznać, że wprowadzana „nowość“ w zakresie sankcji karnych nie posiada przypisywanej jej przez reżymowych ustawodawców wartości.

Kodeks karny z 1932 r. zawierał rozdział XXXII z tytułem „Nierząd“, w tym rozdziale był artykuł 207, głoszący: kto z chęci zysku ofiarowuje się osobie tej samej płci do czynu nierządowego podlega karze więzienia do lat 3. Kodeks karny z 1932 r. zaniechał bowiem poprzedniego karania za uprawianie homoseksualizmu bądź miłości lesbijskiej (stosunek nierządny kobiety z kobietą), wychodząc z założenia, że homoseksualizm lub miłość lesbijska są wynikiem nie nierządu, lecz psychicznego defektu danych osobników. Ale pozostawiono karalność osób uprawiających nierząd z osobami tej samej płci z chęci zysku. Reżymowy kodeks karny zawiera rozdział XXIII — Przystępstwa przeciwko obyczajności. Nie ma w nim przepisu o karalności za ofiarowywanie się do czynu nierządowego osobie tej samej płci z chęci zysku. A więc męskie prostytutki lub lesbijski działające z chęci zysku mogły w Polsce od 1 stycznia 1970 r. uprawiać proceder bez obawy kary. Męskie prostytutki (pomijam lesbijski uprawiające swój nierząd z chęci zysku, gdyż o tym nie słyhać) od roku 1970 będą mogły działać bez obawy kary. Co za postęp!!

Powyższe uwagi stanowią znikomą garstkę tego, co można by i należało by powiedzieć o reżymowym kodeksie karnym. Uwagi te oczywiście nie pretendują do uważania ich za całkiem słuszne i trafne. Wystarczy, jeżeli będą one częścią materiału do użytkowania przy dalszej analizie i ocenie reżymowego kodeksu karnego.

**K**ONIEC XIX wieku był śmieszną imitacją dawnych salonów, wielkich fet, czwartkowych obiadów króla Stasia i balów w salonach „pod Błachą“.

Warszawskie i krakowskie mieszczaństwo rekrutujące się po największej części z zubożałej szlachty — miało zadawnione pretensje do wielkich tonów; do staropolskiej gościnności, do tego idiotycznego „zastaw się a postaw się“, opisywanego w „Pająkach“ Junoszy. Saloniki więc imitowały dawne, wielkopańskie salony, naśladowały stylowe meble, starożytnie posągi; oranżerie redukowały do koszykowych żardinierok z kamiennymi liśćmi i figusami; tapety imitowały adamaszki i gobeliny; firanki — ręczne hafty i koronki; a kryształowe żyrandole i lampy z jedwabnymi abażurami zastępowały naftowe, filujące lampy pod bibułkowymi, sutymi falbankami. Meble, wszędzie jednakowe, pokrywał plusz czerwony, zielony, żółty lub oliwkowy, a na posadzce leżał dywan, który naśladował bucharski, perski, francuski czy turecki.

W takich salonikach nikt z domowników nie siedział. Nie czytał, nie grał na pianinach firmy Nowicki. Nie rozmawiał. Obcierano tylko kuzce, fróterowano posadzki, a pensjonarki grały gamy. W takim saloniku pani Tuśka Zapolskiej marzyła o innym życiu, podlewała kwiaty i naftaliną przesypywała latem dywaniki. W takim saloniku Julka z „Sieci“ Kisielewskiego marzyła o wrażeńiach, przeżyciach w poszukiwaniu intelektualnego środowiska i odmienności. Pani Dulka w takim saloniku obnosiła swoją moralność na pokaz. Taki salonik był tłem dla wszystkich komedii Bałuckiego, dla jego „Grubych ryb“, „Gęsi i gąsek“, „Klubu kawalerów“. Wreszcie taki salonik otwierał swe podwoje, jeśli miał pannę na wydaniu. „Dom otwarty“ Bałuckiego opisuje „bal“ w takim właśnie saloniku. Ileż tragedii, ukrytej nędzy, upokorzonych ambicji, zawiedzionych nadziei kryły te ośmieszające przez Bałuckiego typy wodzirejów, matek rżędem siedzących pod ścianami starzejących się pańien, niedouczonych młodzieńców i zaoranych ojców — urzędników.

Ci biedacy — kształcili swoje dzieci po gimnazjach, wysyłał na uni-

wersytety biorąc w tym celu tzw. „pozabiurówkę, aby sprostać kosztom utrzymania rodziny. Gdyby nie ich praca i poświęcenie, nie byłoby strajku szkolnego w r. 1905. Nie byłoby Legionów, armii Hallera i P.O.W.

W tych salonikach tańczono walca. Romantycznego walca, na odległość ramienia; kochano się, marzono, miewano głupie złudzenia; wpisywano czułe sentencje do albumów, zdradzano, pojedynkowano się i pokrywano hipokryzją trójkąty małżeńskie, podrzucając do tzw. „rodzinnego gniazda“ kukułcze dzieci.

Zupełnie nie mam zamiaru upokorzenia tamtejszych saloników. Jednak należy przyznać, że relacje mojej matki na tle tej śmiesznej dekoracji (kodeksów honorowych, groteski form i konwenansów), umiały znać uczucia mocne i trwałe; i chęć odrodzenia arystokratycznego, kulturalnego i społecznego.

### SALONIKI „MŁODEJ POLSKI“ — WARSZAWA

Za czasów Przybyszewskiego, secesji, „Młodej Polski“ — naraz Warszawa i Kraków zaczęły przemeblowywać swoje saloniki, kupować obrazy malarzy z prawdziwego zdarzenia. Abonować w czytelniach książki. Dyskutować na tematy wystawionych sztuk, koncertów, przeczytanych książek właśnie w tych salonikach o secesyjnych meblach, mniej lub więcej udanych, mniej lub więcej wygodnych. Zjawiały się działaczki i społeczniczki, które ze swoich salonów wyeliminowały tańce: Sempołńska, dr Budzińska, Tylicka, Reichschmidt-Kuczalska. W Warszawie na początku XX wieku każdy z salonów miał swój odmienny styl, każdy silił się na własną indywidualność. Hortensja Lewentalowa przyjmowała co sławniejszych reprezentantów literatury i dziennikarstwa. Konsul Wertheim, w pałacyku w Alejach Ujazdowskich, skupiał wkoło siebie muzyków i śpiewaczki. Profesorstwo Sawiccy zapraszali świat naukowy.

Rywalizowano między sobą w świetności reprezentacyjnych salonów,

# SALONY

gabinetów, buduarów. Olchowiczowie, Lilpopowie, Puzynowie, sędzia Glass.

Grywali w tych salonach Przybyszewski, Melcer, Jaczynowska, Michałowski i Barcewicz; przyjeżdżała Landowska, Ada Sari, Reszke, Korolewicz-Waydowa, Sembrich, Kochańska. Sławy naukowe: Askenazy ze Lwowa, Seyda z Poznania, Lednicki z Petersburga, Ignacy Chrzanowski z Krakowa.

Warszawa nie miała uniwersytetu — salon więc musiał go zastąpić. Biegano z salonu do salonu na tzw. „uniwersytet latający“, gdzie wykładał prof. Nahrburg — historię filozofii, prof. Dawid — psychologię doświadczalną, Matuszewski — literaturę powszechną, Trojanowski — historię sztuki (z przeżościami).

### SALONY KRAKOWSKIEJ CYGANERII

Piewsza dekada XX wieku przeobraziła życie Krakowa nie tylko pod względem artyzmu, rozkwitu poezji, teatru, malarstwa, prasy i krzywego zwierciadła karykatury w szopkach „Zielonego balonika“ — ale i zreformowała życie towarzyskie.

Znikły saloniki Bałuckiego. A obok wielkich karnawałów arystokracji krakowskiej, karnawałów Stańczyków, na które zjeżdżała się śmietanka rodów z Wielkopolski, Królestwa, Litwy i Wołnyia — pojawiły się salony artystyczne i literackie.

Obok wielkich arystokratek, które malował Matejko, zaczęły się pojawiać portrety kobiet nadających styl życiu nowego Krakowa „Młodej Polski“.

Malował te kobiety Axentowicz, jako piękności wystylizowane; malował pochlebione Jan Styka. Znikły damy Matejki z salonów Szujskiego, Bobrzyńskiego i Tarnowskiego — zastąpiły je artystki i muzy artystów. Wandę Siemaszkową malowano w sławnych rolach Heddy Gabler, Nory Ibsena, Młynarki z „Zaczarowanego koła“. Jako Pannę Młodą z „Wesela“ uwiecznił ją nawet Wyspiański. Dągny Przybyszewską malowali Munch,



# I SALONIKI

Krzyżanowski i Wyspiański. Każdy inaczej. Wszyscy jednak zawsze podkreślali w jej pięknej twarzy zamyślenie i tęsknotę. Dużo portretów pozostało po Pareńskich: Lizie i Marii z Pareńskich Raczyńskiej. Malował je wielki ich przyjaciel — Wyspiański.

Były to czasy secesji, wpływów Przybyszewskiego. Kobieta na tle salonu zmieniała się w wystylizowanego i tajemniczego sfinksa. Umiała rozmawiać o Ibsenie, Hauptmanie i Strindbergu. Spod wielkich kapeluszy, w cieniu parasolek patrzyły oczy Laury Pytlińskiej i Zapolskiej. Belles femmes salonów stawały się przekleństwem mężczyzny i doprowadzały ich do rozpacz, wykołejania i samobójstwa. Owe kobiety ubóstwiał i przeklinał Przybyszewski; przez taką kobietę o mało się nie zmanierował Boy-Żeleński; za taką kobietą szalał latami (daleko od Krakowa) Shaw.

Salony Krakowa przemieniały się w piękne wnętrza, do których czasem meble projektował Wyspiański, w których ściany wypełniały portrety tych co w salonach bywali. Mieszkanie Przybyszewskich nie miało salonu, to on życie z salonu przeniósł do „Paonu“. Tak było oszczędniej i mniej banalnie. Nonszalancko i bardziej po zachodniemu. „Paon“ mieścił się na wprost teatru, który prowadził Pawlikowski, Kotarbiński czy Solski. Na ścianach portretowano Przybyszę, Kasprowicza, K. Tetmajera, Jacka Malczewskiego, Wyczółkowskiego. Wyspiański na ścianie pisał węglem wierszyk:

„Niechże ciebie rymem rozslawię  
Knajpo, gdzie po czarnej kawie  
Drogi czas na niczym trawię“.

„Paon“ jednak i „Zielony balkon“ wraz z „Jamą Michalikową“ — nie wyeliminowały salonu. W mieszkaniu Sewerów Maciejowskich zbierali się starzy poeci obok „Młodej Polski“ — Kasprowicza, Wyspiańskiego i Tetmajera. Jeżeli kto nie chciał się upijać z Przybyszem — przestawał bywać u Przy-

byszę i w „Paonie“, z czasem odstąpili go wszyscy wielcy. Nie uległ mu ani Solski ani Kamiński, ani młodziutki Osterwa z teatru, ani Frenkiel przyjeżdżający na gościnne występy. Przestali bywać malarze, którzy zachodzili do Sewerów: Jacek Malczewski, Fałat, Axentowicz (karykutował ich trzech Wyczółkowski). Stary Orkan i Anczyce spotykali tu młodych: Kisielewskiego, Kazia Tetmajera i Lucka Rydla. Jacek Malczewski u Sewerów karykutował Wyczółkowskiego i Sewera jako satyrów. A Wyspiański milczał i rysował wszystkich: Stanisławskiego, Kisielewskiego, Sewera i Władysława Tetmajera.

Pani Maciejewska podawała kawę z kożuszką i ciepłem otaczała artystów. Jej mąż sypał dowcipami jak uosobienie „Pana Jowialskiego“. Naśladował Ciaputkiewicza z „Grubych ryb“, Wodzireja z „Domu otwartego“ i imitował Frenkla w roli Wisłockiego. To nie znaczyło, żeby nie umiał zachwycić się „Weselem“ i chłopomanią Włodzimierza Tetmajera i Rydla.

O roztańczonej chacie, o „Rydlówce“ nie piszę, bo chata owa nie była salonem Krakowa, chociaż była tłem największego dramatu literatury polskiej i gościła pod strzechą najwybitniejszych ludzi owych czasów.

Oprócz saloniku Sewerów — Kraków miał salon doktorostwa Pareńskich. Uroczą markiza — pani Liza Pareńska umiała wytworzyć atmosferę najwyższego poziomu artystycznego. W mieszkaniu obwieszonym obrazami wielkich malarzy z Wyspiańskim na czele, odbywały się koncerty. Kwartety, tria i solowe występy ojca Boya — sławnego kompozytora Żeleńskiego. Szaleństwo fortepianowe Przybyszę. Wyspiański bywał tu codziennym gościem. Uważano go za przyjaciela. Pozostało wiele listów pisanych do pani Lizy, jak i jej portretów i portret córki Marii z Pareńskich-Raczyńskiej. Paniom ofiarowywano poematy (Artur Górski, Sewer).

Była to epoka rozkwitu krakowskiego teatru, malarstwa, satyry kabaretowej. Wszystkie prądy artystyczne Krakowa jednoczyły się w salonie. Nie było słynnego malarza, który by tu nie był stałym gościem. Nie było poety, muzyka, aktora, który by nie chciał odetchnąć atmosferą salonu Pareńskich. Salonu umiającego połączyć tradycje dawnego piękna, wytwornych manier, zarazem najwyższego artystycznego stempla. Pisał o tym Boy, opowiadał mi o tym mój stryj Leon Wyczółkowski, który grywał u Pareńskich w wista, co prawda, jak „noga“, ale czuł się w ich domu jak nigdzieindziej, karykutowany przez Frycza i Sichulskiego i rysujący wszystkich najmilszych kolegów i rozsiadłych w fotelach: Malczewskiego, Fałata, Axentowicza, a z poetów Kasprowicza i Kazimierza Tetmajera.

W ostatnim pokoju Pareńskich „odstawiano“ kabaret, a w pokoiku panienek przekomarzano się z Luckiem Rydlem i przyjmowano wiersze od poetów.

Były to czasy wulkanicznego wybuchu i eksplozji polskiej sztuki i łabędziego śpiewu salonu literackiego. Jak wiemy (od Tyrmanda), w obecnej Polsce życie przeniosło się do knajpy i uległo kompletnemu zniekształceniu, zatruciu psychicznemu i reżymowemu spętaniu.

## BIBLIOTEKA „KULTURY“

### „Zeszyty Historyczne“

#### ZESZYT XVI

zawiera m.in. prace:

- Z. S. Siemaszko: POWSTANIE WARSZAWSKIE
- A. Cieńciała: POLITYKA BRYTYJSKA WOBEC ODRODZENIA POLSKI, 1914—1918
- J. Łukasiewicz: WSPOMNIENIA Z ROKU 1939
- C. K. Żukow: O POWSTANIU WARSZAWSKIM I POLSCE

Szereg innych opracowań i zwykle działy.

Cena: 30 sh, 4.00 dol.

KSIEGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W. 7.

# Proces i śmierć Stalina

*Sztuka E. Corti, która wkrótce ukaże się w przekładzie polskim, jest próbą rekonstrukcji ostatnich chwil Stalina. Zamieszczony tu fragment odnosi się do momentu, kiedy spiskowcy, złożeni z najbliższych jego współpracowników, po obezwładnieniu straży przybocznej Stalina urządzają namiastkę procesu. — Redakcja.*

## EPIZOD CZTERNASTY

*(Scena przedstawia jedną z sal dacz. Wchodzą spiskowcy i Stalin. Na ścianie wisi tylko portret Stalina. Spiskowcy zasiadają za stołem z Malenkowem jako przewodniczącym zajmującym miejsce pod portretem Stalina).*

MALENKOW (do Stalina): Zawiadamiamy was, że proces musi się skończyć w krótkim trybie.

MOŁOTOW: Co najmniej na godzinę przed przybyciem Chińczyków.

MALENKOW (spoglądając na zegarek): Straciliśmy już dużo czasu.

STALIN: Co takiego?

KAGANOWICZ: Co najmniej tydzień czasu zabraloby wyliczenie wszystkich punktów oskarżenia.

BUŁGANIN: Na to trzeba by całych miesięcy.

MALENKOW: Dlatego postanowiliśmy wspólnie połączyć wszystkie oskarżenia w jedno podstawowe, które zawiera w sobie wszystkie inne. Brzmi ono następująco: oskarżamy was o zejście z drogi marksizmu-leninizmu. (Do Woroszyłowa, który wstaje i podchodzi do przodu). Oskarżenie będzie popierać towarzysz Woroszyłow.

STALIN: Ja? Zszedłem z drogi marksizmu-leninizmu?

WOROSZYŁOW: Czy zaprzeczacie, że zamiast pracować na rzecz wolności proletariatu, postępowaliście wręcz przeciwnie?

STALIN: Ja?

WOROSZYŁOW: Tak, właśnie wy: zamiast wprowadzić dyktaturę proletariatu, narzuciliście swoją własną dyktaturę, skupiając wszystko w swoich rękach.

STALIN (potrząsa głową): Woroszyłow, dlaczego gracie komedię udając, że to ja a nie Lenin zamienił władzę dyktatorską proletariatu na władzę „świadomej awangardy“ tj. partii komunistycznej.

BUŁGANIN: Lenin zrobił to tylko na krótki czas.

WOROSZYŁOW: Lenina zmusiły do tego kroku ustawiczne bunt proletariatu niekomunistycznego.

MIKOJAN: Zapomnieliście także, iż ci buntownicy zamordowali Uryckiego i Wołodarskiego oraz ranili samego Lenina.

STALIN: Ja nic nie zapominam. To był tylko pierwszy krok. Drugim krokiem było danie wyłącznej władzy kierownictwu partii — Politbiuru Komitetu Centralnego. To także zrobił Lenin w czasie dziesiątego Kongresu partii.

WOROSZYŁOW: Zrobił to z konieczności, bo wśród nich powtórzyły się zbyt liczne odłamy.

KAGANOWICZ: One to, między innymi, doprowadziły do drugiego buntu kronsztadzkiego.

MIKOJAN: W czasie zaburzeń w Kronsztadzie ci sami towarzysze, którzy obalili carat w cztery lata później, usiłowali obalić władzę komunistyczną.

KAGANOWICZ: Była to bardzo gorzka ironia losu.

STALIN: Co do mnie, to nie wierzę w igraszki historii. To więc był drugi krok, podjęty przez Lenina. Jednocześnie

nie otrzymaliśmy poważną przestrożę: nauczyliśmy się raz na zawsze, że ten kto staje do otwartej walki o wolność, nie zawsze potem idzie po jedynej, wedle marksizmu, drodze wolności, to jest tej, która prowadzi do budowy komunizmu. Dlatego też likwiduje się systematycznie tych, którzy spełnili swoją misję, to jest starych rewolucjonistów.

KAGANOWICZ: Lenin jednak oddał władzę dyktatorską w ręce zbiorowego kierownictwa, nie zaś w ręce jednego człowieka. To wielka różnica.

STALIN: Towarzysze, jak świat światem, słowo dyktatura oznaczało zawsze absolutną władzę jednego człowieka. Aby mogła powstać dyktatura nowego rodzaju, dyktatura milionów ludzi, głoszona przez marksizm, trzeba najpierw wykorzystać wśród nich indywidualizm, egoizm, sprzedajność i złą wolę; jednym słowem należy zmienić ich psychikę. Lenin doszedł do przekonania, iż obecne czasy i ludzie nie pozwalają na stworzenie dyktatury milionów, a nawet dyktatury jednego miliona. A ja wam mówię, że przy obecnej naturze człowieka niemożliwa jest dyktatura ani stu ani nawet dziesięciu ludzi. I to właśnie zmusiło mnie, wbrew mojej woli, do uczynienia trzeciego kroku, po tym co już zrobił Lenin, to jest do skupienia władzy jedynie w rękach sekretarza partii, czyli w moich własnych.

MALENKOW: Czy chcecie jeszcze coś dodać?

STALIN: Czas upływa, więc nie będę się rozwodził. Nie trzeba tu chyba przypominać, że przez pięć lat po śmierci Lenina ja osobiście oraz inni towarzysze czyniliśmy ogromne wysiłki aby za wszelką cenę utrzymać zbiorowe kierownictwo. To wam odbiera ducha. Lecz wyznaję szczerze, obecnie to nie byłoby mi na rękę. (Spiskowcy milczą).

CHRUSZCZOW (tonem buntowniczym): O, nie!

MOŁOTOW: Nie możemy jednak zaprzeczyć, że szedł drogą na którą wstąpił Lenin.

BERIA: Słuchajcie, słuchajcie!

CHRUSZCZEW (do Mołotowa): Jeśli zgodzimy się, że Stalin ma rację, to wówczas nasze zbiorowe kierownictwo byłoby rzeczą niemożliwą.

BUŁGANIN: Towarzysze: zaprzeczam jakoby Stalin uważał swoją dyktaturę za sprawę przejściową, tak jak to czynił Lenin.

MOŁOTOW: Bułganin, to znaczy że chcecie sądzić Stalina nie za jego czyny, lecz za intencję utrzymywania obecnego stanu rzeczy i wynikającej z tego jego własnej dyktatury.

KAGANOWICZ: Nie, Bułganin ma rację: jedynym celem Stalina zawsze było zachowanie w swoich rękach władzy nad wszystkimi. (Do Stalina) Szliście do tego tylko celu likwidując nie tylko swoich rzeczywistych i domniemych przeciwników, lecz także wynajdując fikcyjnych, aby skazywać niewinnych ludzi. Wasza podejrzliwość i surowość nie zna równych sobie w historii dyktatur.

BERIA: Bardzo dobrze to ujęliście, towarzyszu Kaganowicz. Utrafiliście w samo sedno sprawy.

CHRUSZCZEW: Przygwoździłście go na tej ławie oskarżonych.

MOŁOTOW: Chwileczka...

BUŁGANIN (do Stalina): Czy potraficie wykazać przed nami, że to nieprawda?

KAGANOWICZ (do Stalina): Aby spotęgować strach przed waszym przeklętym imieniem, uśmierciliście ogromną liczbę niewinnych komunistów.



CHRUSZCZEW: Spróbujcie jeśli potraficie, usprawiedliwić te masowe prześladowania. Jeśli nie zdołacie wytłumaczyć dlaczego z waszej ręki poszło na śmierć tysiące wiernych komunistów, to czeka was srogi wyrok.

KAGANOWICZ: Niestety, żadna kara nie zrównoważy tego co uczyniła.

MALENKOW: Spokojnie towarzysze. Musimy przestrzegać porządku. (*Do Stalina*) No więc, co macie na swoją obronę przed zarzutem zgładzenia tysięcy niewinnych komunistów?

STALIN: Słuchajcie... (*pauza*) zapomnijmy o tym.

KAGANOWICZ: Co?

STALIN: Mógłbym odeprzeć bez trudu również i ten zarzut, lecz wolałbym nie poruszać tego tematu.

BERIA: Którego? Którego?

CHRUSZCZEW: Żartujecie chyba?

KAGANOWICZ: A może chcecie zaniechać swojej obrony?

STALIN: Gdyby celem moim była tylko ochrona własnego życia i narodu rosyjskiego, to nie prowadziłbym tej tytanicznej walki pochłaniającej tyle istnień. Dyktatura, moja byłaby nie okresem strasznej walki o budowę komunizmu, lecz okresem spokojnego życia. Wy nie mielibyście powodu do oskarżania mnie... Tylko z braku czasu nie wspominałem poprzednio, że nie zniósłem przecież szeregu organów sowieckiej władzy ani też nie poniechałem kosztownych wyborów.

SPISKOWCY: Wybory z jedną tylko listą... Czy wam się zdaje, że mówicie do głupców? Wybory, których wynik nie nasuwa żadnej wątpliwości i jest znany z góry! Co za maskarada!

STALIN: Tak, to może wydawać się komedią tym którzy nie wierzą, aby w przyjętym komunistycznym społeczeństwie możliwa była jednomyślność. Lecz ja wierzę w to i zmuszam do zgody wszystkich w nadziei, że nadejdzie czas, kiedy jednomyślność będzie się objawiać spontanicznie.

KAGANOWICZ (*wysuwa się do przodu*): Towarzyszu Stalin, postawiłem wam konkretny zarzut. Nie odstępujcie od właściwego tematu.

STALIN: Czy inni dyktatorzy, wszyscy dyktatorzy jakich znamy, nie starali się zawsze utrzymać przy władzy, popierać swoich zwolenników i ich faworyzować? Czy nie tak było zawsze w historii? Co, zresztą jest rzeczą naturalną.

KAGANOWICZ: Więc co z tego?

STALIN: Ja postępowałem zawsze odwrotnie. Do swoich wiernych pomocników stosowałem zasady marksizmu.

KAGANOWICZ: Co chcecie przez to powiedzieć?

STALIN: Każdy, kto doszedł do uprzywilejowanej pozycji, wynoszącej go ponad ogólny poziom społeczny, winien być likwidowany, aby społeczeństwo mogło zachować równość komunistyczną. To jest zasadniczą podstawą naszej nauki, towarzyszu Kaganowicz. W pierwszym rządzie wszyscy sprawujący władzę, potem dowódcy wojskowi, naczelnicy aparatu policyjnego i funkcjonariusze każdego działu administracji...

(*Szemranie wśród spiskowców*)

MALENKOW: Czy to właśnie jest powodem, że wysyłacie na zagładę takie ilości ludzi?

STALIN: Na pewno nie dlatego, aby pomagać sobie w utrzymywaniu się przy władzy.

MOŁOTOW: Czy w tym celu urządzaście masakry współpracowników Lenina, a teraz chcieliście postąpić w ten sam sposób z nami?

CHRUSZCZEW: Po siedemnastym zjeździe partii z waszego rozkazu rozstrzelaliście siedemdziesiąt procent delegatów wybranych do Komitetu Centralnego...

KAGANOWICZ: Również z dwu tysięcy delegatów na ten kongres więcej niż połowa straciła życie lub poszła do obozów.

CHRUSZCZEW: Między nimi było wielu moich dobrych przyjaciół.

BULGANIN: A co pewien czas rozstrzeliwujecie również co wybitniejszych oficerów naszej armii.

MIKOJAN: Wy wojskowi, towarzyszu Bułganin, jesteście jeszcze uprzywilejowani w porównaniu z nami politykami.

BERIA: Tak, wy w wojsku zawsze byliście w lepszej sytuacji.

BULGANIN (*do Woroszyłowa*): W ciągu niespełna dwu lat zdołał wyeliminować około jedną czwartą grupy dowódców i to wy nazywacie uprzywilejowaniem.

KAGANOWICZ (*do Stalina*): Szalony fanatyku! Po to właśnie, po to, by móc legalnie zabijać ludzi, zmuszaliście wasze ofiary do przyznawania się do zbrodni przeciw społeczeństwu marksistowskiemu, których nigdy nie popełnili.

STALIN: Podchodźcie do sprawy w sposób zbyt indywidualny, towarzyszu Kaganowicz! Czyż nie było winą ludzi, a wśród nich także tych ludzi, że nie mogliśmy stworzyć społeczeństwa prawdziwie komunistycznego? Ci ludzie mieli także swoje winy w stosunku do społeczeństwa, więc nie dziw, że się przyznawali.

CHRUSZCZEW: Zdaje mu się, że działał zgodnie z zasadami marksizmu. Tylko szalenięć może tak mówić.

STALIN: Nie rozumiem. Teraz wy obwiniaacie mnie także o represje w stosunku do innych?

WOROSZYŁOW: Kto?

CHRUSZCZEW: Kto są ci inni?

STALIN: Przeciw tysiącom bezpartyjnych, przeciw tym, którzy należeli do innych klas lub kategorii społecznych.

MIKOJAN: Nie, wręcz przeciwnie.

BULGANIN: Cóż nas obchodzą ci inni?

BERIA: Ci inni, to jest nie-komuniści, nie interesują nas wcale. Represje w stosunku do nich były nieuniknione.

CHRUSZCZEW: Natomiast komuniści — tak. Oni bowiem są budowniczymi nowego społeczeństwa.

STALIN: Zgadzam się, lecz wówczas...

CHRUSZCZEW: A może nie widzicie różnicy między nami a nimi?

STALIN: Spokojnie, towarzysze, pozwólcie i mnie coś powiedzieć...

MALENKOW: Tak, proszę o spokój! Kaganowicz, później będziecie mogli mu odpowiedzieć.

STALIN: Zgadzam się — komunista jest budowniczym nowego porządku. Jednakże ci komuniści, którzy powstałi przeciw carowi, w cztery lata później zbuntowali się przeciw władzy sowieckiej. Gdyby nie było represyj, wówczas mogliby to zrobić i po raz trzeci, czwarty i tak dalej. Czy miałem czekać aż to nastąpi i nie podejmować środków zaradczych? Czy należało czekać aż z grona przywódców partyjnych wyłonią się jakiś nowy Trocki, Zinowiew lub Bucharin? Dlaczego? Dlaczego miałbym stawiać niżej interesy komunizmu, a nawet sprawę jego istnienia od interesów pojedynczych komunistów? Może dlatego, że my tworzymy kastę nietykalną, uprzywilejowaną? Kto to i kiedy głosił? Co wy na to Kaganowicz?

KAGANOWICZ: To my mamy prawo żądać odpowiedzi, a nie wy od nas. Tu nie ma mowy o kaście. Tu chodzi o pojedynczych, wiernych nam ludzi, o takich którzy całe życie poświęcili budowie komunizmu, którzy o niczym innym nie myśleli. Dlaczego ich zabijaliście?

STALIN: Poszczególne jednostki? Bredzicie, ot co, Kaganowicz. Jakie znaczenie mogą mieć dla nas jednostki? Czy możemy się z nimi liczyć, likwidując całe klasy starego społeczeństwa? Niszczymy raz na zawsze całą klasę, która wydaje ze swego organizmu społeczno ludzi nieprawych.

KAGANOWICZ: Lecz uśmiercenie wiernych naszej sprawie towarzyszy jest rzeczą absolutnie niemoralną!

STALIN: Dlaczego? Dla nas moralnym i dobrym — i to powinniśmy czynić — jest to wszystko co służy budowie komunizmu i nie poza tym.

KAGANOWICZ: Z tym człowiekiem nie można dyskutować.

CHRUSZCZEW (do Stalina): Z tego wynika, że my komuniści z konieczności powinniśmy zabijać jeden drugiego? Mamy pożerać się wzajemnie jak głodne wilki w czasie śnieżnej i mroźnej zimy? (Krzyczy) To niemożliwe! Tak być nie powinno! Nigdy się na to nie zgodzę. (Pauza — do Mołotowa) Czy wy, Mołotow, zgadzacie się z nim w tej sprawie? Jeśli tak, to dlaczego dziś nie pozwoliliście się zabić?

MOŁOTOW: Co do mnie... wy raczej udowodnijcie Stalinowi, że się myli.

CHRUSZCZEW: Nie wątpię, że są argumenty przeciw jego pogładowi (rozgląda się dokoła, widocznie czekając na czyjąś pomoc).

STALIN: Jesteście wszyscy ślepi, jak nowonarodzone kocięta. Do czego dążycie? Chcecie być antychrystami w stosunku do innych i chrześcijanami między sobą?

KAGANOWICZ: Co powiedzieliście?

STALIN: Chcecie stosować swoją moralność do innych, lecz gdy o was samych idzie, wolicie zadawać się zasadą obskurantyzmu: „nie zabijaj brata swego!“ Kto tego zakazał? Kto to powiedział? Bóg tak mówi! Znaczy to, że mieniąc się wolnymi nowożytnymi ludźmi, wolicie zarazem powrócić w jarzmo Boże.

MOŁOTOW: Niestety, nie widzę, jak mu się można przeciwstawić.

CHRUSZCZEW (w podnieceniu): Na czym polega nasza wolność, skoro nie możemy ocalić przed śmiercią ani siebie ani tych których kochamy? (Do wszystkich) Nie posiadamy nawet tej minimalnej wolności.

MALENKOW (zniechęta): Tak, ci których... Oh!... Oh! (Krzyczy i zakrywa swą tłustą twarz rękami) Kiedy deportowano moją żonę Lerę Rubcową, aby ocalić siebie musiałem się jej wyrzec i pozwolić na jej śmierć tragiczną wśród zesłanych... Oh!

MIKOJAN: Nieszczęśliwa kobieta.

MALENKOW: Jakie wstrząsające listy do mnie pisała... Udało mi się zobaczyć ją przy okazji podróży służbowej do tagru w Karagandzie: była w łachmanach, wyglądała jak widmo, nie do poznania, lecz jej oczy patrzyły na mnie, patrzyły... Oh!... Któż mi zwróci moją Lerę?

BULGANIN (do Stalina): Przypuszczam, że słuchanie tego sprawia wam przyjemność.

STALIN: Czy zapomnieliście jak skończyła moja żona oraz mój syn? Czy traktowałem może inaczej swoją własną rodzinę, swoich przyjaciół?

(Nikt nie zaprzecza)

STALIN: Ostatniego przyjaciela i towarzysza mej młodości Ordzonikadze mianowałem ministrem przemysłu. Ale i on... (potrzęsa głową) kiedy przyszła kolej na zlikwidowanie jego zastępcy Piatakowa, pamiętacie...

WOROSZYŁOW: Piatakow? Budowniczy naszego ciężkiego przemysłu.

MIKOJAN: Człowiek ogromnej wartości, niezastąpiony.

STALIN: Właśnie z tego względu Ordzonikadze sprzeciwił się jego procesowi: rękami i zębami walczył o jego ocalenie. Dlatego musiałem, trzeba było zabić i Ordzonikadze, mego ostatniego przyjaciela z lat wspólnej walki w Gruzji... Czy sądzicie, że mnie to mniej kosztowało niż was? A jednak zdecydowałem się na to.

CHRUSZCZEW: Dostyc tego, dostyc, dostyc! Nigdy nie pogodzę się z tym, że mamy zarzynać jeden drugiego z okrucieństwem jakiegoś nieznaję nawet dzikie bestie. (Krzyczy) Oświadczam: Nigdy, tak być nie może. (Po chwili — do innych) A wy, dlaczego milczycie, dlaczego mu nie odpowiadacie?

BERIA: Po co ten przeklęty proces?

BULGANIN: Tym więcej, że cokolwiek on mówi, to i tak nic mas to nie obchodzi.

MIKOJAN: Ważne jest tylko to, że władza jest teraz w naszych rękach.

BULGANIN: Zrobimy to, co uznamy za stosowne.

BERIA: Rozumie się.

CHRUSZCZEW: Nie, jeśli nadal ma być tak, jak on powiedział. Wtedy bowiem i dla nas nie byłoby wyjścia. (Do Malenkowa) A wy, Grzegorzu Maksymilianowiczu, który od dziś jesteście naszym premierem, czy nie potraficie odparować tego co tu powiedział?

MALENKOW: Ja? Uspokójcie się Nikita Chruszczew, pohamujcie swój gniew. (Przykłada ręce do twarzy jakby do mycia) W rzeczywistości wcale nie jest tak, jak twierdzi Stalin. (Do Stalina) Udowodnię wam, że to wszystko co robiliście było odchyleniem od wskazań Lenina. (Stalin potrzęsa głową — Malenkow zwracając się do innych) Jak widzicie przybiera postawę niepokonanego.

CHRUSZCZEW (w podnieceniu do Malenkowa) Powiedzcie wreszcie!

MALENKOW: Nie, rozważymy to wszystko na zimno. (Tonem oficjalnym) Zarządzam krótką przerwę w procesie.

(Przełożył z włoskiego A. Czulowski)

GRYF PUBLICATIONS LTD

Paweł Zaremba

**HISTORIA STANÓW ZJEDNOCZONYCH**

WYDANIE DRUGIE PRZEJRZANE I POPRAWIONE

Cena 45 sh.

KSIEGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W. 7.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

JERZY ANDRZEJEWSKI

**APELACJA**

Powieść

Cena: 15 sh, 2.25 dol. 9.00 F.

Księgarnia SPK

20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W. 7.



# SYN O MATCE

**L**UBIĘ stare pamiętniki, listy, monografie, pasjonuje mnie historia i archeologia. Nie przez plotkarskie wścibstwo, ale przez poczucie łączności z człowiekiem wszystkich epok.

Mieszanina odruchów i instynktów w człowieku — z intelektem i siłami twórczymi, barbarzyństwa z wyrafinowaniem, zła z dobrem i gra sił tych sprzecznych elementów — to historia ludzkości. Zwycięstwa lub klęski tych składowych elementów znaczą epoki naszych dziejów. I dlatego świat ludzki jest widowiskiem pasjonującym, ciągle nowym, choć zawsze zamkniętym w ramach urodzenia i śmierci. Scena pozostaje ta sama, ale reżyser — duch czasu — zmienia dekoracje, kostiumy i rekwizyty, operuje dowolnie światłami, ukrywając coraz to inne części sceny w mroku, rzucając na pozostałe jaskrawe światło. Narzuca aktorom styl gry posługując się kontrastami, lubuje się w krańcowościach. Dlatego to tak trudno jest wczuć się człowiekowi w inną epokę.

Sięgnijmy do francuskiego ancien régime'u. Arystokracja zepsuta i cyniczna, samolubna i lekkomyślna, wykwiłtna w formach i — zdawałoby się — zupełnie pusta w swej treści. Dekoracja, kostiumy, rekwizyty — Wersal, tło muzyczne — niefrasobliwe i melodyjne menuety i zmienia nagle wszystko: rewolucja, „Carmagnola“, tłumy wyjące o pomstę, pałace grabione i palone — gilotyna. Zniewieściała, przepalona cynizmem arystokracji staje w obliczu końca swego świata. I zdobywa się na godność wobec spraw ostatecznych — brutalnych prześladowań i śmierci. Słaby, nigdy nie mogący się zdecydować król umiera po królewsku. Ostatnie miesiące życia lekkomyślnej, chciwej rozrywek królowej mają patos greckiej tragedii. Ci sami ludzie. Reżyser-życie wy dobył z nich i naświetlił wartości ukryte tak głęboko, że nie wiedzieli o nich prawdopodobnie sami.

Przenieśmy się na bliższy teren: arystokracja polska wdzięczająca się do Katarzyny II, przyjmująca z jej rąk olbrzymie dobra i order. Łączy się małżeństwem z siostrzenicami

Patiomkina i zabiega o łaski tego wszechwładnego prostaka, który doszedł do władzy przez łóżko Katarzyny. Jak trudno jest nam to zrozumieć! Jest między tymi ludźmi a nami przepaść, którą zapełnić mogą tylko głębokie studia nad epoką, ówczesną koniunkturą polityczną, wychowaniem jakie otrzymali i „klimatem“ psychicznym i obyczajowym górnych sfer Europy, która, w oczach „Semiramidy Północy“, kończyła się wówczas aż hen, na Uralu.

Fragment dziejów naszych zawarty w ramach dat urodzenia i śmierci „Pani Róży“ z Potockich, primo voto Krasieńskiej, secundo voto — Raczyńskiej, bliższy jest już naszemu zrozumieniu (1849-1937). Są to lata pokuty za winy ojców, lata powstań i powtarzającej się żaloby narodowej, klęsk coraz głębiej sięgających w życie całego społeczeństwa. U schyłku życia „pani Róży“ przychodzi kataklizm dziejowy I-iej wojny światowej, z którego wyszła — na krótko — wolna Polska. Podkładem muzycznym do tej epoki była jako uwertura „Warszawianka“. Potem przez długie lata snuje się prosta melodia piosenki „Leci liście z drzewa, co wyrosło wolne...“ W finale rozbrzmiewają piosenki legionowe.

Polskość reprezentował w tych ciemnych latach Szopen zarówno w kraju jak i zagranicą, najlepszy ambasador jakiego mieliśmy kiedykolwiek i — nieśmiertelny.

Nie dożyła pani Róża bombowców niemieckich nad Polską, ani flag ze swastyką w Warszawie i Krakowie, Franka na Wawelu i w Krzeszowicach. Nie słyszała piosenek okupacyjnych ani pieśni, która nadpłynęła znowu z Italii, aby wstrząsnąć całym narodem: „Czerwone maki na Monte Cassino...“ Na krótko przed śmiercią powiedziała: „Boję się o los Polski, szczęście jej nie trwało nigdy dłużej jak piętnaście lat“. Przeczula klęskę, ale jej nie dożyła. Los był dla niej łaskawy.

Edward Raczyński, syn „Pani Róży“ i ambasador Polski w Anglii w okresie najczarniejszej nocy nad

naszym krajem, postanowił odtworzyć z ocalałych szczątków dokumentacji życie swej matki na tle epoki. Niestety, niewiele miał materiałów: wspomnienia matki z lat dziecinnych spisane dla synów i wnuków, trochę korespondencji<sup>1)</sup>.

Jeżeli zachowała się gdzieś w kraju część dokumentacji — autor nie ma do niej dostępu. Wykorzystał zatem głównie własne wspomnienia i tych z rodziny i przyjaciół, którzy znaleźli się wraz z nim na wygnaniu.

Powstała książka wzruszająca, nie tylko dlatego, że napiana jest z synowskim pietyzmem, ale również dlatego, że mówi o ludziach, których już nie ma, więcej jeszcze — o świecie, który przeminął. Skazany został na śmierć z wypaleniem wszystkich po nim śladów. Zostało po nim coś nie coś w pamięci ludzkiej, trochę szczątków ocalałych w archiwach i groby, o które nie ma się komu troszczyć, bo potomkowie rozsiani zostali po całym świecie. Pamięć żyjących jest więc dla nas nieocenionym skarbem. Pamięci Edwarda Raczyńskiego zawdzięczamy trzy książki: „Rogalin i jego mieszkańcy“, „W sojusznicy Londynie“ i obecnie — „Panią Różę“.

Pani Róża nie była pisarką, nie napisała żadnego „bestsellera“ ani pracy naukowej, nie była mężem stanu, czynnym politykiem, ani też głośnym dziennikarzem. Jej wybitna inteligencja, talent obserwacyjny, umiejętność szerokiego spojrzenia i trafnych wniosków z wydarzeń (zalety, których tak często brakuje politykom i dziennikarzom), zainteresowanie sprawami politycznymi, zwłaszcza dotyczącymi zagadnień polskich — nie mogły bezpośrednio zaważyć na biegu wypadków. Nie walczyła z bronią w ręku u boku naszych powstańczych wodzów aby wraz z nimi wejść do le-

<sup>1)</sup> Bezценne archiwum przewiezione dla bezpieczeństwa z Rogalina do Warszawy, zapisane przez matkę synom aby je opracowali, spłonęło 25 września 1939 roku w pałacu (Krakowskie Przedmieście 5) — nie opracowane i nie odzyskane przez spadkobierców.

gendy narodowej. Nie złamała też serca żadnemu wieszczowi i obraz jej, upiękuszony przez miłość i geniusz poetycki, nie wszedł do skarbca narodowej poezji. Nie budzi zainteresowania historyków i krytyków literackich, którzy mają zwyczaj szperać w osobistym życiu, aby spenetrować „jak to było na prawdę“. Nie lubiła rozgłosu i za żadną cenę nie chciałyby być „heroiną“ wielkiego romansu, pamiętaną dlatego, że wykoleiła życie wielkiego człowieka. Było wprost przeciwnie, jak świadczy o tym wspomnienie jej wnuczki, Włodzimierzowej Czartoryskiej, zamieszczone w książce: „Stanowiła pewność, bezpieczeństwo i ostoję w każdej okoliczności, bez niespodzianek podyktowanych humorem i choć tak bardzo górowała nad całym otoczeniem, nigdy się to nikomu nie dawało we znaki“. Prócz tego „stanowczo uznawała wyższość rodzaju męskiego nad kobietami.“ „W związku z tym pouczała mnie — pisze dalej wnuczka — „że żona powinna być podszewką męża i nigdy nie zaznaczać swojej wyższości, ani nie narzucać swego zdania. Stosowała tę zasadę bardzo konsekwentnie“.

Osobowość jej zbyt była zrównoważona, aby stać się przedmiotem pasjonującej monografii. Żyła jednak w społeczeństwie polskim tak długo, tak czynne było jej życie wśród licznej rodziny, którą usiłowała przyuczać do pełnienia obywatelskich obowiązków, ratowała z tarapatów finansowych, spowodowanych typowym polskim brakiem zmysłu praktycznego i lekkomyślnością; miała tyłu przyjaciół wśród ludzi wybitnych, którym jej inteligencja rozjaśniała obraz zawilej rzeczywistości, że jej pozytywne życie warte jest rozpatrzenia.

„Handicap“ babek, matki i jej samej stanowił fakt, że pochodziły z rodów, które odegrały tak smutną rolę w Targowicy. Kobiety nie były nie winne, ale one właśnie najbardziej się poczuwały do obowiązku „réparer“, starcia plamy z głośnych nazwisk.

Na wstępie swej książki umieszcza autor wspomnienie napisane przez Stanisława Mackiewicza, zamieszczone w „Słowie“ wileńskim w dniu 23 sierpnia 1937, zamiast nekrologu. Utalentowany ten dzienni-

karz napisał tam m.in.: „Oto z obowiązku dziennikarskiego stykam się z wielu ludźmi wybitnymi, znanymi i znakomitymi. I muszę powiedzieć, że była to jedna z największych, o ile nie największa inteligencja, jakie w życiu spotkałem. (...) I nie tylko inteligencja. Było to jakieś wyczuwanie polityki, całkiem odrębne niż się spotyka u ludzi naszego pokolenia“. Tutaj wspomina słowa Róży Raczyńskiej po zamachu majowym a przed wyborem prezydenta: „Piłsudski zostanie wybrany, ale nie przyjmie“. I zdumiewa się: „Przewiduje fakt, który w kilka godzin później zaskoczył całą Polskę, zrobił wrażenie kolosalnej jakiejś niespodzianki, czegoś, czego nikt nie przewidywał“. Ze smutkiem stwierdza: „Zgasło onegdaj światło wielkiego rozumu“.

W pamiętniku rozpoczętym w 81 roku dla synów i wnuków, obejmującym — niestety — tylko osiem lat jej dziecinnego życia, pisze Róża na wstępie: „... z domu rodzicielskiego wyniosłam cudownie piękny, zwartej, jednolity ideał życiowy. Dostojność jego uważałam za rzecz prostą, niemal przyrodzoną. Zdawał mi się też łatwy do osiągnięcia, bo nie znałam ku niemu zapory. Patrząc zaś od dziecka, na życie moich rodziców, wierzyłam w szczęście na tej ziemi, tak jak wierzyłam w Pana Boga! Zresztą postać mego ukochanego ojca była mi jakby odbiciem wszechmocy i wszechdobroci Bożej — a słyszałam jak matka moja powtarzała z rozkoszą słowa Aldony, że „dla kobiety szczęściem najwyższym, gdy ma wielkiego Boga na niebie, a wielkiego męża na ziemi“ i miłowała tego męża całą duszą, służąc mu wiernie i podpierając dobrocią, rozumem i niezwykłym męstwem swej hartownej natury“.

Świat lat dziecinnych Róży oglądamy oczami małej dziewczynki: rodziców, rodzeństwo, babki, ciotki i wujów<sup>2)</sup>, wychowawców, przyjaciół rodziny, do których zaliczała się gen. Chłopicki. Widzimy ówczesny Kraków, ubogi i prowincjonalny, o którego dobrobyt i szatę zewnętrzną zabiegał dziadek Róży — Artur Po-

<sup>2)</sup> Wśród nich znajdował się Zygmunt Krasiński, ojciec jej przyszłego męża Władysława, który zmarł młodo na suchoty, zostawiając wdowę z trojgiem dzieci.

tockiej, oficer napoleoński, jej ojciec Adam, babka Zofia z Branickich i matka — Katarzyna z Branickich. Wspomnienia te, uzupełnione w starości przez Różę szczegółami z obfitej korespondencji rodziców, mówią o życiu w pałacu „Pod Baranami“ i w Krzeszowicach, o licznych podróżach zagranicę, o chorobie matki i wyjazdach „do wód“. Słyszymy o międzynarodowych koligacjach obu rodzin — Potockich i Branickich, o całym tym świecie, trochę polskim a trochę kosmopolitycznym, gdzie zdobycie Sewastopola budziło rozpacz w jednych członkach rodziny (ks. Woronców, szwagier babki), a radość u innych (lord Pembroke, Adam i Katarzyna Potoccy). A całe to towarzystwo kochało się serdecznie, po rodzinnemu. Wszystkie te sprzeczności i dziwne powiązania rodzinne uważały dzieci — wychowane i kształcone w domu i nie stykające się z ludźmi z „innych sfer“ — za rzecz naturalną.

Tutaj urywa się pamiętnik Róży, gdyż kontynuowanie go wymagałoby pisania o bolesnych przejściach rodzinnych, jak również głębszych studiów, zagłębiania się w archiwach, co przekraczało siły starej już kobiety. Zastępuje ją autor opowiadając dalej o losach matki po śmierci Władysława Krasińskiego, jej długoletnim pobycie w Zakopanym dla ratowania zdrowia wątlonych dzieci i pracy Róży nad kształceniem swego umysłu w tym zakątku odciętym wówczas od świata. Później wprowadza autor nowe postaci dramatu: dziadka swego Rogera Raczyńskiego i ojca — Ewarda. Pisze o pełnej przygodzie młodości ojca, jego kampanii w szeregach żuawów papieskich, odniesionej w tej służbie ciężkiej ranie, o jego podróżach po „złote runo“. Mówi o spotkaniu się rodziców, o powrotnym małżeństwie matki i ojca (bo i on był już raz ożeniony z córką Zygmunta Krasińskiego — Marią). Mówi o upartych wysiłkach Róży aby uratować majątek męzowski, nadwątlony bardzo przez niefortunne próby wzbogacenia się — dodajmy ucziwie — poszukiwanie przygód. Dzięki poświęceniu i oszczędności Róży został Rogalin uratowany i powstała w nim słynna galeria obrazów. Pisze o szczęśliwym pożyciu tych dwojga ludzi, kochających się

(dokończenie obok)



# POZYTYWNY ROMANTYK

Na marginesie poetyckiej ewolucji Kazimierza Brodzińskiego

WŚRÓD WIELU książek dochodzących nas z kraju, opracowanych na jedynie tam dostępnych źródłach i dokumentach, zwraca uwagę cykl „ludzi żywych“ liczący jak dotąd 14 sylwetek wybitnych postaci polskich i obcych, na ogół z dziedziny sztuki i literatury. Ostatnio Alina Witkowska powiększyła ich liczbę charakterystyką Kazimierza Brodzińskiego\*). Nie jest to, ściśle biorąc, jego biografia, choć wnosi wiele nieznanych dotąd szczegółów z życia poety, ani też mo-

nografią jego twórczości, lecz interesująca analiza jego duchowej ewolucji na tle współczesnej mu epoki, tj. początku XIX wieku.

Jest to analiza tym ciekawsza, że ukazuje K. Brodzińskiego raczej jako profesora Uniwersytetu warszawskiego i historyka literatury, związanego z życiem narodu, niż autora „Wiesława“!

Podstawą jego stosunku do literatury było przekonanie stanowiące treść jego zasadniczej rozprawy: „O romantyczności i klasycyzmie“ (1918)<sup>1</sup>, że sztuka, a przede wszystkim literatura, jest (jednocześnie wyrazem narodu, jak też jego czynikiem twórczym. Ta prawda naro-

dowo-estetyczna stała się przyczyną jego duchowego przełomu wobec listopadowego powstania.

Dla wyjaśnienia aktualnego dla nas znaczenia ewolucji K. Brodzińskiego koniecznych jest kilka faktów z wielu danych, które zebrała Alina Witkowska.

Więc K. Brodziński urodził się w Królówce koło Bochni, w 1791 roku jako 7-me dziecko ubogiego dzierżawcy i rządcy dóbr hr. Moszyńskich. W 3-im roku życia stracił matkę, a macocha była postrachem domu, tak że opiekowali się nim raczej chłopię-sąsiedzi. Ówczesne szkoły austriackiego typu, czy ludowa w Lipnicy, czy gimnazjum w Tarnowie przymuszały uczniów różnymi do języka niemieckiego. Rychła śmierć ojca skazała młodego chłopca na nędzę i czasem głód, belferowanie po obcych domach i opiekę starszego brata Andrzeja, koncypienta adwokackiego, oraz autora wydanych: „Zabawek Poniatońskiego“ i „Wejście ks. Józefa Poniatońskiego wraz z wojskiem w r. 1809 do Krakowa zeszło się z maturą K. Brodzińskiego i zaciągnięciem się wraz z bratem Andrzejem do oddziału poety Wincentego Reklewskiego, oficera artylerii. Dwuletni pobyt w Krakowie był okresem czytania się K. Brodzińskiego w literaturze oraz kształcenia się na wykładach uniwersyteckich, a zakończył się w twierdzy modlińskiej skąd poszedł na Moskwę i aż do Lipska. Powrócił cudem z wojny, zdrów i cały, straciwszy po drodze przyjaciela W. Reklewskiego i ukochanego brata Andrzeja — przerażony na całe życie obrazem wojny!

W 1814 r. osiadł w Warszawie, która znęcała go rozwojem środowiska naukowego (nowopowstałym — za wolą cara Aleksandra I-go — Towarzystwem Przyjaciół Nauk i Uniwersytetem), gdzie mógł zarabiać piórem jako członek redakcji „Pamiętnika warszawskiego“ i tłumacz sielankopisarzy niemieckich Gessnera, Herdera, Richtera, aż sam napisał „Wiesława“ (1820), poemat-apoteozę idylli chłopskiej! Jego roz-

## SYN O MATCE ...

od dawna, a połączonych małżeństwem późno, bo w wieku około lat czterdziestu. O ciosach, które uderzały w Różę: śmierć najmłodszej córki i najstarszego, ukochanego syna Adama, zamordowanie przez Sicińskiego najmłodszego brata, Andrzeja, we Lwowie, w gmachu namiestnictwa — o ciosach, które ta mocna kobieta znosiła ze zdumiewającym hartem ducha, bo wyrobiła sobie „metodę“ walczenia z cierpieniem siłą woli.

Na zakończenie sięgnął autor do wspomnień ludzi, którzy znali jego matkę lub byli z nią spokrewnieni. Zabierają tu głos: Kazimiera Hłakowiczówna, wspomniana już tutaj wnuczka — Zofia Włodzimierzowa Czartoryska, prawnuczka — Elżbieta Tyszkiewiczówna, zamieszkała teraz w Londynie Mrs. Nicholas Carroll, Maria Czapska, Janina Adamowa Żółtowska, Karolina Lanckorońska i Kajetan Morawski. Wszyscy oni piszą o prawości charakteru, sile duchowej, bezpośredniości w stosunkach z ludźmi, wyrozumiałości dla ludzkich słabostek, a surowości dla samej siebie. Każdy jednak dodaje jakiś nowy szczegół rzucający światło na tę silną kobietę, nie poddającą się starości i chorobie. I każdy z nich podkreśla jej żywą inteligencję i doskonałą pamięć, którą zachowała aż do śmierci. Kajetan Mo-

rawski wspomina stosunek Róży do religii: „W religij szanowała przede wszystkim zbiór prawideł etycznych, stroniąc od rozważań metaficznych. Powiedziała mi wówczas, że odczuwała lęk nie przed śmiercią, a przed umieraniem. Pamięta, jak ciężko umierali jej ojciec i matka. I dodała: „Bo my jesteśmy z rasy ludzi twardych i silnie zakorzenionych w ziemi“.

W liście swym do autora — Edwarda Raczyńskiego — napisała na długo przed śmiercią, w czasie choroby, która szczęśliwie minęła: „Nauka Chrystusa to nie traktat teologiczny, to nauka życia samego i wyższej nad nią nie ma. Wprowadzajcie ją w czyn bez względu na wątpliwości teologiczne, boć wątpliwości powinny być bodźcem tylko do szukania prawdy“.

Tak myślała i takie właśnie zasady stosowała w swoim życiu „Pani Róża“, żywe wcielenie najlepszych wartości jakie spotyka się u kobiet polskich, którym los niełaskawy — a może właśnie łaskawy? — nie pozwala nigdy osiąść na laurach.

Krystyna Brzozowska

<sup>1</sup>) Edward Raczyński — „PANI RÓŻA“. Synowa Zygmunta Krasińskiego, potem Edwardowa Raczyńska. Nakładem autora. Londyn. 1969. Str. 227, 2 nłb., 12 ilustracji.

prawy estetyczno-krytyczne oraz praca pedagogiczna jako nauczycielka języka polskiego w konwiktie ks. ks. Pijarów, zwróciły nań uwagę rektora W. Szwejkowskiego i autora **Historii literatury polskiej** Feliksa Bentkowskiego, którzy wprowadzili K. Brodzińskiego najprzód w poczet członków **Tow. Przyjaciół Nauk**, a w lipcu 1822 r. osadzili go na katedrze polonistyki na uniwersytecie warszawskim, obok Ludwika Osińskiego, wywołując tym samym konflikt dwóch światopoglądów literackich.

Albowiem Ludwik Osiński, zagorzały klasyk, wykładający zasady La Harpe'a, dla którego wzorem twórczości była Francja XVII w., rywalizował z K. Brodzińskim, preromantykami, uznającym za najwyższy typ literatury sielankę z ludem rolniczym, jako jej tworzywem, godzącym się z biegiem życia i historii. Lecz Brodziński, „kochany od młodzieży“, bliżej z nią obcował, wyczuwał od 1825 r. rosnący w niej bunt, dowiedział się o jej spiskach i począł obawiać się jej powstańczego wybuchu. I on, romantyk z ducha, wystąpił przeciw romantycznej pobudliwości. W swym tomie **Pism romantycznych** zamieścił dwie rozprawy **O krytyce** oraz **„O egzaltacji i entuzjazmie“**, w których podjął polemikę z romantykami. I znalazł się natychmiast w sporze z ich przywódcą, zapalnym i utalentowanym Maurycym Mochnackim. Spór ten nie był tylko literacki — dotyczył współczesnej polskiej rzeczywistości. Dla Mochnackiego wszelka równowaga była stagnacją! „Gdzie jest równowaga tam nie masz ruchu, tam i życia nie masz!“ Brodziński nie uznając buntu i negacji jako elementów postępu, stał się ... konformistą!!!

Albowiem Brodziński bał się powstania. Pamiętał zbyt dobrze jak wygląda klęska i pożoga, którą przeżył w 1812 r. I nie chciał nowej daininy krwi, zamiast twórczej pracy organicznej, chyba że to będzie ofiara Polski, podobna do Chrystusowej, w imieniu wspólnej jedności ludów wolnych, ofiara, która zmusi świat do współodpowiedzialności... To mesjanistyczne podejście do roli Polski było treścią słynnej mowy Brodzińskiego **„O narodowości Polaków“** wygłoszonej w **Tow. Przyjaciół Nauk**, 3-go maja 1831 r. Mickiewicz

oświadczył wówczas, że Brodziński „ukorzył się przed geniuszem narodu“.

Luna palącej się szopy na Solcu, która nocą 29-go listopada rozświetliła Warszawę, stała się dla K. Brodzińskiego tragedią osobistą. Przeżył klęskę i z oburzeniem wystąpił przeciw Mikołajowi I-mu za zamknięcie **Tow. Przyjaciół Nauk** wierszem pt. **„Na zabór biblioteki“** (lipiec 1832 r.).

„Niepomny, że Bóg jęku  
mordowanych słuca  
Krew wysłałeś narodu, chcesz  
wysać i ducha?  
Z grabieży Katarzyny ukochane  
szczętki,  
Ostatnie bierzesz księgi i drogie  
pamiętki...“

Mimo odomowego szczęścia, uroczej żony i ukochanej córeczki, jak też poważnej kuracji w Karlsbadzie i Dreźnie, gdzie opiekował się nim A. Odyniec, nie przeżył nieszczęścia Polski dłużej niż 5 lat. Zmarł w Dreźnie 10-go października 1835 r., gdzie został pochowany na „emigracyjnym“ cmentarzu.

W swej ciężkiej chorobie — cierpiał na płuca i złośliwy nowotwór na plecach — K. Brodziński miał jedną chwilę radości. A. Odyniec korespondujący zawsze z Mickiewiczem, odczytał mu jego list. Scenę tę, zapisaną przez Odyńca we **Wspomnieniach z przeszłości** warto za Aliną Witkowską powtórzyć: „Jeśli Brodziński jest jeszcze u was — pisał Mickiewicz — kłaniaj mu się ode mnie. Chociaż nie znam go osobiście, wiesz jak go wysoko szacuję. Na końcu **Pana Tadeusza** był do niego ustęp; ale nagle drukowanie i moje ówczesne zatrudnienie małżeńskie zrobiły, że nie miałem czasu poprawić i umieścić swego epilogu. Zostałem do to do przyszłego (jak będzie) wydania!!!“ I dalej sam Odyniec: „Odczytałem te słowa Brodzińskiemu. Słuchając zamykał oczy i nie mógł powstrzymać łkania, co mu się zresztą w tym czasie za każdym wzruszeniem zdarzało. Po jakimś czasie dopiero polecił mi podziękować Adamowi za ten dowód uznania i pamięci, w którym jużci musiał czuć dowód, że sam autor **Pana Tadeusza**, miał go (Pana Tadeusza) jakby za drugą pieśń z tego tonu, który najpierw zabrzmiał w **Wiesławie**“.

Jeśli zgodzimy się z K. Brodzińskim, że sztuka jest wyrazem i jednocześnie czynnikiem kształtującym naród, to powinien nas zastanowić i zainteresować fakt, że twórczość dzisiejsza we wielu swych przejawach ma cechę wspólną, mianowicie bunt przeciw wszelkiej dawności, a nawet rzeczywistości współczesnej. Powieść, aby mieć światowe powodzenie musi być antypowieścią; teatr na złość prawdzie głosi zasadę absurdu; malarstwo, gardzące anegdotą i nawet jakimkolwiek tematem, winno być tylko barwną plamą; znawcy uznają muzykę atonalną. Przytem zwycięża nie wolność w ukazaniu najdrastyczniejszych, cynicznych i zmysłowych objawów życia, na co pozwala mu tzw., po angielsku, ogólna **permissiveness!**

K. Brodziński, romantyk z usposobienia i wykształcenia, a pozytywista na skutek doświadczeń życiowych, który miał za sobą Moskwę i walkę ideową z własnym społeczeństwem, uląkł się ... buntu młodzieży jako elementu rozkładu i klęski ... Pogodził się z walką jako ofiarą Chrystusową ... za innych! Tym samym Brodziński przestrzega przed wszelkim buntem, nawet formalistycznym, o ile nie zawiera treści, będącej jak chciał również Krasiński: „Bądź strojem w rozstroju! Bądź wiecznym pięknem w wiecznym życia boju“.

## WOLNE OD OPŁAT CELNYCH

- materiały dentystyczne produkcji angielskiej, niemieckiej, szwajcarskiej, USA itd.
- wszystkie lekarstwa
- okulary
- pończochy na żyłki
- wykonywanie recept krajowych sprawnie wyśle, bez zwłoki

Największy na świecie  
Polski Dom Wysyłkowy

# TAZAB & CO.,

TAZAB HOUSE  
ROLAND GARDENS,  
LONDON, S.W. 7.

Tazab of London Inc., 16, Stuyvesant  
Street, New York 3, N.Y. 10003

o r a z  
Représentation de Tazab à Londres,  
20, Rue Legendre, Paris 17-e.

PODSTAWĄ ISTNIENIA PISMA  
JEST REGULARNIE OPŁACANA  
PRENUMERATA



# MISTRZ CEREMONII DWORU ŚW. JAKUBA

## KRÓLEWSKIE WIDOWISKO

INWESTYTURĘ księcia Walii oglądało według oficjalnych obliczeń ponad 500 milionów ludzi. Wśród nich tylko niewielką stosunkowo grupę stanowili naoczni świadkowie: Walijszczy, mieszkańcy W. Brytanii i przyjezdni goście. Olbrzymią większość to widownię telewizyjną wszystkich kontynentów kuli ziemskiej, którzy mają możliwość obserwować i przeżywać to wspaniałe widowisko dzięki satelitom komunikacyjnym zawieszonym w przestrzeniach i przekazującym obrazy na różne strony świata. Uroczystość, jak na ogół zgodnie potwierdzono, była wspaniała, spektakularna i doskonale zorganizowana. Niejeden reżyser filmowy mógłby pozazdrościć precyzji, malowniczości i okazałości z jakimi inwestytura się odbyła. A trzeba przyznać, iż urządzenie jej było dokonaniem o wiele trudniejszym niż nakręcenie filmu. W atelier grają artyści wyszkoleni, odpowiednio dobrani, przeważnie młodzi. Sceny nieudane można zawsze powtórzyć, zmienić lub po prostu usunąć. Tu taka rzecz była niemożliwa. Próby odbywają tylko statycznie, natomiast główne osoby są same sobą. Grają rolę dziejową po raz pierwszy i ostatni. Nic nie da się z ich gry usunąć, bo jest to historia na żywo, prawdziwe życie narodu i monarchii.

## DZIEDZICZNY MARSZAŁEK

Od czterystu z górą lat funkcję mistrzów ceremonii pełnią w W. Brytanii książęta Norfolk. Na nich spoczywa obowiązek organizowania koronacji i innych ceremonii dworskich i państwowych. Pierwszy książę Norfolk mianowany został marszałkiem dworu Anglii w roku 1483. Jest to pierwszy i najważniejszy tytuł arystokratyczny po rodzinie królewskiej. Początkowo do marszałka należało czuwanie nad porządkiem i spokojem publicznym w promieniu 7 mil od dworu w czasie koronacji i innych uroczystości. On też odpowiedzialny był za straż u drzwi pałacu i sali tronowej oraz ceremonialne wprowadzanie i eskortowanie oficjalnych gości monarchy. Oprócz tytułów i łask królewskich był za swe obowiązki sownie wynagradzany. Otrzymywał ze skarbu władcy olbrzymią, jak na ówczesne czasy, sumę 20 funtów rocznie, a po koronacji także konia, zbroję i okrycie, których używał monarcha w czasie uroczystości. Jemu też przypadły w udziale szaty królewskie, zastawa stołowa i inne rekwizyty z obrzędu

koronacji. Dziś ta strona uprawnień marszałka poszła w zapomnienie. Książę Norfolk nie otrzymuje też należnych mu tradycyjnie 20 funtów. Kredyty przyznawane mu na urządzenie uroczystości są po tym skrupulatnie przeglądane i zatwierdzone przez parlament. Rola pierwszego marszałka jest dzisiaj bardzo ograniczoną zarówno na dworze, jak też i w życiu państwowym. Nie posiada on właściwie żadnej władzy ani uprawnień konstytucyjnych. Najlepiej określił to sam książę mówiąc: „Nie istnieję jako Marszałek i nie mam żadnych atrybutów, poza perswazją“. Jego waga i znaczenie nabierają mocy dopiero w czasie koronacji, pogrzebów lub innych uroczystości dworsko-państwowych. W tej roli organizatorów i mistrzów ceremonii związani zostali marszałkowie z historią W. Brytanii na zawsze.

## XVI-TY KSIĄŻĘ

Sir Bernard Marmaduke Fitzalan Howard, XVI-ty książę Norfolk, Earl of Arundel i główny podczaszy jest obecnie mistrzem ceremonii dworu św. Jakuba. W ciągu swego życia zorganizował już dwie koronacje, dwa królewskie śluby, dwa pogrzeby, inwestyturę księcia Walii oraz wszystkie otwarcia sesji Parlamentu, w których kroczy zwykle po stronie królowej. On też bierze udział w ceremonii wprowadzenia nowych lordów do Wyższej Izby Parlamentu brytyjskiego. On również zajmował się organizacją pogrzebu Churchilla, który choć inie pochodził z rodziny królewskiej, lecz, podobnie jak dwaj inni najwięksi Brytyjczycy: Nelson i Wellington, zasłużył sobie na pogrzeb monarszy, bo kochany był przez cały naród i królom równy.

W całym Zjednoczonym Królestwie nie ma drugiego człowieka, który znałby lepiej przepisy dworskie, rytuał i miał lepsze wyczucie historii. I chociaż stracił ojca mając lat 8 i nie miał okazji nauczyć się swej sztuki z obserwacji, to jednak dorównał mu w tej sztuce, a nawet przewyższył. W pracy przyświeca mu stale motto rodu: SOLA VIRTUS INVICTA.

Widocznie, zdolności organizacyjne ma we krwi, odziedziczył je po swych 16-tu przodkach, podobnie jak takt, umiejętność podejmowania szybkich decyzji, mocne nerwy i niewzruszony spokój w obliczu nieprzewidzianych okoliczności. Wszystko co wychodzi spod jego ręki jest opracowane z wielką dokładnością, a równocześnie z pełnią

przepychu i dostojeństwa. Najlepiej czuje się w roli reżysera wielkich uroczystości. Jest wtedy w swoim żywiole, przeżywa wielkie momenty historii do głębi, stwarza pomost między dawnymi i nowymi laty. Gdy w czasie koronacji królowej Elżbiety w 1953 roku niektórzy lordowie socjalistycznej chcieli brać udział w ceremonii w zwykłych ubraniach, książę-marszałek stanowczo się temu sprzeciwił. „Każdy biorący udział w pochodzie musi mieć tradycyjny strój i albo jechać powozem albo iść pieszo“ — oświadczył. Zabronił używania pojazdów mechanicznych w czasie procesji koronacyjnej.

Od marszałka zależy każdy najdrobniejszy szczegół uroczystości dworskich i państwowych. Książę rozmieszcza koronowane głowy, prezydentów, ministrów, ambasadorów, lordów, przywódców i innych gości. Od niego zależy porządek w jakim osobistości te idą w pochodzie i jakie miejsca zajmują w świątyni. Odpowiedzialność za każde faux pas spoczywa ostatecznie na nim.

Jako mistrz ceremonii książę Norfolk zdobył sobie olbrzymie uznanie i to nie tylko czynników oficjalnych ale też zwykłych, szarych ludzi. Gdy po koronacji Jerzego VI-go otrzymał Order Podwiązki, tłum powitał to okrzykami: „Bernardzie zasłużyłeś na to, dobrześ to zrobił“. Za swą pracę i szarpające nerwy wysiłki książę nie otrzymuje żadnego wynagrodzenia. Nagrodą dla niego są niezliczone ilości listów, jakie nadchodzą po każdej wielkiej uroczystości. Czyta je dokładnie i analizuje. Najbardziej wzruszył go list od nieznannej kobiety, która była świadkiem ostatniego pożegnania Churchilla. Po odejściu rodziny i skończonej ceremonii pogrzebowej książę-marszałek pozostał sam na grobie Churchilla. Po krótkiej modlitwie, stanął na baczność i zsalutował marszałkowską buławą.

## PRYWATNE ŻYCIE

Obecny książę Norfolk urodził się w rodzinnej siedzibie, zamku Arundel, 30 maja 1908 roku. Mieszka tam do dziś z żoną i czterema córkami. Koszta utrzymania zamku są dzisiaj tak astronomiczne, iż książę zmuszony był do odstąpienia go państwu, zatrzymując sobie prawo zamieszkania w nim. Zamek otwarty jest obecnie dla zwiedzających i za małą opłatą obejrzeć można zbrojownię, komnaty i portrety poprzednich książąt. Jest też w zamku piękna i skromna kaplica, katolicka. Książęta Norfolk są nieprzerwanie katolikami,

(Dokończenie obok)

Ralph G. Martin napisał książkę pt. „Jennie, the life of Lady Randolph Churchill”). The romantic years 1854-1895“, która stała się natchmiast bestsellerem. Na otrzymanie jej trzeba było czekać w bibliotekach publicznych co najmniej trzy miesiące i to zarówno w Stanach jak i w o wiele mniej intelektualnej Kanadzie. Jeśli już dotarła do Europy, z pewnością znajdzie się w kategorii najpopularniejszych książek obu półkul.

Pierwsze wrażenia z książki Ralpa G. Martina są raczej ujemne. Oto zdolny publicysta natafił na złotą żyłę: sportretował mniej lub więcej prawdziwie jedną z najbardziej zadziwiających kobiet XIX wieku. Nazwisko jej syna podparło opowieść o matce. Marna, sensacyjna książka — oto pierwsze refleksje czytelnika. Ale tylko pierwsze.

Ponieważ rzecz o Jennie Jerome, amerykańskiej „milionerce“ (w cudzysłowie, gdyż jak się okazało, bogactwo Jennie Jerome było jednym z wielu mitów jej własnego ojca — słynnego Leonarda Jerome, parweniusza i geniusza finansowego z Wall Street), obejmuje jedynie pierwsze 40 lat jej życia. Czekałam na równi z innymi abonentami amerykańskich bibliotek publicznych na tom drugi, zapowiedziany przez autora. Tom pierwszy kończy się zdaniem, iż po śmierci Sir Randolpha Churchilla, tego „Enfant Terrible“ brytyjskiego

1) Ralph G. Martin „Jennie, the Life of Lady Randolph Churchill. The romantic years 1854-1895“, Prentice Hall, Publ. N. York & Canada.

#### MISTRZ CEREMONII

a w 1824 roku uchwalona została przez parlament specjalna ustawa, zezwalająca im na branie udziału w ceremoniach i nabożeństwach anglikańskich z racji ich funkcji w organizacji koronacji.

W przerwach między zajęciami oficjalnymi książkę administruje swoim majątkiem w Sussex oraz nieruchomościami w Londynie i Sheffield. Pełni też cały szereg funkcji społecznych. Jest przewodniczącym Klubów Jeździeckich, prezesem Stowarzyszenia Automobilistów, Związku Rezerwistów, a w 1962 roku jedził do Australii jako manager Zespołu Krikietowego. W czasie ostatniej wojny pełnił przez pewien czas funkcję parlamentarnego sekretarza Ministerstwa Rolnictwa. Lubi psy, konie,

KLARA EVANS

## Opowieść o matce

parlamentu, życie przepięknej Jenny wydawało się być skończone. Ale — jak przyrzekł nam autor — wbrew jej własnym przewidywaniom i przewidywaniom angielskiej society, życie nieporównanie pięknej Jennie miało się właśnie dopiero rozpocząć. I tak w istocie było. Tylko, iż dalszych faktów z życia matki Churchilla nie dowiedziałam się z drugiego tomu Martina, lecz z książki, która też w swoim czasie była „bestsellerem“. Nosi ona wieloznaczący tytuł: „They all married well“ i napisana została przez amerykańską pisarkę Elizabeth Eliot. W swej zręcznej, dowcipnej i noszącej wszelkie cechy prawdopodobieństwa książce, Miss Eliot opowiada dzieje ponad czteremastu amerykańskich piękności, które w dwóch ostatnich dekadach zeszłego wieku zdobyły szturmem obronne zamki i rezydencje najbliższej angielskiej i francuskiej arystokracji, nie zawsze tylko dla swych milionowych posągów. Pierwszy wyłom w tradycji i w pogardzie dla wszystkiego co oznaczano wówczas mianem „Yankee“ uczyniła właśnie Jennie Jerome — matka Winstona Churchilla.

Jennie Jerome wyrosła w amerykańskim domu, hołdującym wszystkim najgorszym tradycjom Nowego Świata tamtych lat. Łatwy pieniądz, robienie tego pieniądza wszystkimi sposobami, chamski snobizm, ojciec Leonard Jerome — pozujący na sportowca, nie tylko na polu wyścigowym,

lecz w traceniu i zdobywaniu astronomicznych fortun — oto pierwsze formatywne lata matki Churchilla. Samo jej imię — Jennie, jest charakterystyczne: otrzymała je dzięki temu, że w momencie jej narodzin złotoreki Leonard — utrzymywał słynną divę operową — Jennie Lind.

W trzynastym roku życia Jennie Jerome zaznała blasków i cieni życia na wielką skalę w otoczeniu, które nie zawsze przychylnym okiem patrzyło na jej pochodzenie. Porwana przez matkę do Paryża, „szmuglowana“ na wszelkie sposoby do salonów francuskiej arystokracji — spotyka w wieku, kiedy inne dziewczęta chodzą jeszcze na pensję — swego przyszłego męża — drugiego syna możnego Duke of Malborough. Okazja do spotkania była zaiste wspaniała: oto mamy rok 1873 i przyjęcie, na którym młoda para spotyka się po raz pierwszy, zostało wydane na cześć przyszłego cara Wszechrosji.

Biograf Martin nie zagłębia się w powody, dla których prześliczna i bogata Amerykanka godzi się na małżeństwo z angielskim arystokratą, który na pewno nie był atrakcyjnym młodym człowiekiem. Miał wylupiate oczy i minę głuptasa. Wpływ ambitnej matki także nie wchodził w rachubę. Nikt bowiem bardziej od matki Jennie nie był przerażony wieścią, że Jennie, jej eteryczna, mądra i zabawna Jennie po jednym tygodniu za lotów — postanowiła połączyć „na wieki“ swój los z losem Randolpha Churchilla.

A jakie były początki owego „romansu stulecia“?

Na wieść o potajemnie zawartym narzeczeństwie, obie rodziny — możnych Malborough i przedstawicieli amerykańskiego plebsu — zgodnie starają się unicestwić zamierzone małżeństwo. Ambitna matka Jennie ma bowiem dużo śmielsze marzenia dla swej córki, niż w jej mniemaniu — bardzo przeciętne małżeństwo z drugim synem angielskiego arystokraty. Ojciec Randolpha natomiast, po dokładnym zbadaniu pochodzenia i działań na Wall Street Leonarda Jerome, w takich oto słowach ostrzega syna: „W żadnym aspekcie, w żadnej konfiguracji, małżeństwo twoje

Wacław Netter



# Winstona Churchilla

z tą Amerykanką nie mogłoby nas zadowolić. Musisz sam przyznać, że uderza ono w naszą rodową dumę i sama myśl o takim małżeństwie jest dla mnie nie do przyjęcia“.

Ale, z niewiadomych powodów, bo — jak się później okazało — zainteresowania erotyczne drugiego syna Malborough leżały być może gdzie indziej, młody Randolph jest nieprzejednany. „Przy pomocy dziewczyny takiej jak Jennie — będę w stanie stanąć na własnych nogach“.

I wreszcie, pewnego spokojnego dnia, bez zanotowań w karnecie przyjęć i balów, odbył się w Paryżu ślub młodej pary.

Gdy w końcu Randolph Churchill, przy wciąż nieprzejednanym sprzeciwie rodziców, przewiózł swą młodą żonę do rodzowego Blenheim — optymizm dynamicznej Jennie osłabł. Stała się bowiem oko w oko nie tylko z olbrzymim i ponurym pałacem o nieskończonej ilości pokoi i służby, ale co gorsza — z teściową, która nie ukrywała swojej dezaprobaty.

Pozostawał jednak Londyn, który odkryła niemal natychmiast po wyładunku na mglistej wyspie brytyjskiej. Londyn, który wydał się jej naraz — lepszym i weselszym miejscem po dopiero co opuszczonym, tragicznym Paryżu. Londyn — arystokratyczny i w przerażającej większości — bezmyślny, przyjął ją od razu w swe grono. I nawet fakt, że pierwszy syn Jennie — Winston, urodził się w niespełna w siedem miesięcy po ślubie — nie zaważył na jej popularności.

Jeżeli mamy wierzyć biografowi Martinowi i jego źródłom — na krótko po urodzeniu Winstona — piękna Jennie odkryła, iż mąż jej jest syfilietykiem.

Od tego momentu „wielki anglo-amerykański romans“ zakończył się. Jennie Churchill rzuciła się jeszcze głębiej w wir zabaw i frywolnych przyjemności. W tym okresie życia najmożliwszym i ponoć wcale nieplatonicznym jej adoratorem był sam książę Walii, przyszły Edward VII, który jak chciała skandaliczna plotka — był prawdopodobnie ojcem drugiego syna Jennie. Biograf Martin insynuuje także, że poza syfilisem — oj-

ciec Winstona miał również skłonności homoseksualne.

Całkowity rozdzwięk uczuciowy nie przeszkodził jednak ambitnej piękności ze Stanów podbudowywania kariery swego nieudanego męża. Była nie tylko jego Egerią na przedwyborczych objazdach, ale także i Muzą, gdyż wiele wskazuje na to, iż to nie jej mąż, ale sama Jennie pisała większość jego parlamentarnych przemówień. To dzięki niej podobno i tylko dzięki niej niezwykle wydarzony drugi syn możnego rodu dostał się w skład rządu lorda Salisbury w roku 1876. Ale — i tu wążąc za skandalem pośledniego gatunku książka Martina zabrzmi na chwilę prawdą: ojciec Churchilla nie zagrzał długo ministerialnego miejsca: tępawy, przerażony i skonfundowany arkanaami wielkiej wówczas, imperialnej polityki swego kraju — zrezygnował z zaszczytów, nie informując nawet o tej decyzji swej ambitnej żony.

Od chwili rozczarowania karierą męża — a było to zapewne ostatnie rozczarowanie jakie młoda amerykańska piękność mogła przyjąć pod maską wielkopańskiego i pogardliwego uśmiechu, w którym wytresowało ją tak znakomicie najpierw francuskie „establishment“ Napoleona III, a potem zawistne „Society“ wiktoriańskie Jenny Jerome-Churchill — winna była zejść w cień. W pewnym momencie biografii Martina znika ona niemal całkowicie z kart jego opowieści, ustępując — przez kilka rozdziałów — pola swemu synowi — Winstonowi. I może jedynie te rozdziały, które mówią nam o wielkiej miłości przyszłego zbawcy Anglii do swej frywolnej, zgorzkniałej, a chwilami wprost nieludzko twardej matki — uderzają czytelniką patosem tragicznej prawdy. Churchill kochał ją bezgranicznie, była ona dla niego ideałem kobiecego piękna i kobiecej dobroci. Napewno zaważyła na całej jego przyszłości, może jak każda niedbała i bardzo kochana matka. Jennie bowiem miała czas na wszystko w swym błyskotliwym i ambitnym życiu, z wyjątkiem jednej czynności: opieki nad synami. W swych wspomnieniach z dzieciństwa Churchill wymienia niejednokrotnie nazwisko swej ukocha-

nej bony, słynnej już dzisiaj jako instytucja — angielskiej „nanny“ — Mrs. Everest. Była ona dla niego symbolem ciepła i zaufania. Na jej kolanach wyplakiwał swe pierwsze zawody, swe niechęci do wrogiego mu od urodzenia ojca i swe nadzieje na to, że „mama jednak przyjedzie na przedstawienie szkolne, w którym będę brał udział“. Ale mama prawie nigdy nie przyjeżdżała. Pisząc przemówienia dla męża, wydając polityczne obiady, troszcząc się o słabą fortunę drugiego syna wielkiego rodu, Jennie nie miała zbyt wiele czasu dla synów. Słynna „Primrose Legue“, której była założycielką i spiritus movens, była napewno ważniejsza od małego chłopca, którego świadectwa szkolne z trymestru na trymestr wykazywały coraz to gorsze stopnie.

Książka Martina, a właściwie jej pierwszy tom, kończy się ze śmiercią lorda Randolpha w wieku lat 45-ciu<sup>2)</sup> po podróży naokoło świata, podczas której — o zapbiegliwa i dyskretna epoka wiktoriańska! — w bagażu Churchillów wraz z lekarzem (gdyż on też należał raczej do bagażu niż do towarzystwa) taszczono statkami kolejami... specjalną trumnę, odpowiednią dla zmarłych w tropikalnych rejonach...

Tyle Martin.

Natomiast Elizabeth Eliot dokańczyła jak gdyby opowieści, nie opowiedzianej jeszcze przez Martina.

Dopiero po śmierci Randolpha — lady Churchill zaczęła może naprawdę żyć całą pełnią. To, że podczas życia męża skandaliczne kroniki Londynu i Nowego Yorku podawały nazwiska jej domniemych kochanków jak: hrabia Kinsky (podobno największa miłość jej życia), Milan, król Serbii, lord Curzon i markiz de Breteuil oraz wielu innych, nie zaszkodziło Jennie w jej błyskotliwym wdowieństwie. W 40 roku życia była nadal nie jedną z najpiękniejszych, ale **najpiękniejszą** kobietą Europy i Ameryki. (Zdjęcia w książce Martina potwierdzają współczesną opinię o piękności Jennie). Gdyby dziś zmarła w Bladdon, gdzie leży obok swych

(Dokończenie na str. 32)

<sup>2)</sup> Randolph Churchill zmarł 24 stycznia 1895 roku. Dokładnie w 70 lat potem, 24 stycznia 1965 — zmarł Winston Churchill.

# MUZYKA W EUROPIE

**L**UDZKOŚĆ w ciągu swej długiej historii stworzyła dwa wielkie media za pomocą których wyraża swą egzystencję w świecie — nauki przyrodnicze do badania materialnego bytu czyli realizmu zewnętrznego; oraz sztukę do wyrażania wartości abstrakcyjnych czyli realizmu wewnętrznego. Spośród sztuk muzyka zdaje się być dzisiaj mułą najbardziej związaną z życiem codziennym, a przy tym jest przedmiotem ostrej kontrowersji. W stanie, w jakim mamy ją dzisiaj reprezentuje ona niezgodne ze sobą elementy formy, celu i wartości artystycznych. Niezwykle mozolny proces prowadził do ukształcenia jej obecnych form, a proces ten rozpoczął się w pełni dopiero wtedy, gdy epoka odrodzenia ożywiła i natchnęła nowymi ideami wszystkie inne media artystyczne posiadające już za sobą długą tradycję.

Renesans przyniósł przede wszystkim odrodzenie tych form artystycznych, które istniały już i zajmowały poczytne miejsce w starożytności, a więc literatury, malarstwa,

## OPOWIEŚĆ O MATCE ...

dwóch synów — zachwyciłaby świat od nowa — dziewiętnastowieczna Wenus o oczach, które nawet z dagerotypów uderzają w nas nieprawdopodobnym wyrazem.

Elizabeth Eliot dokańcza dla nas sagę. W roku 1900 Jennie Churchill, zmontowawszy szpitalny statek „Maine“ dla rannych w wojnie burskiej — wychodzi za mąż za rówieśnika swego starszego syna Winstona — Jerzego Cornwallis West. Małżeństwo to nie trwało długo, lecz czar Jennie Churchill był wciąż tak niezaprzeczalny, że to szaleńcze małżeństwo nie zdziwiło nikogo z londyńskiej „society“.

Nawet na łożu śmierci — jasna twarz Jennie, nie przeorana żadną zmarszczką, piękna i natchniona, zabraniała wierzyć odwiedzającym ją, iż naprawdę nadchodzi koniec życia tej niezwyklej istoty. Umarła tak piękna i młoda jak tego napewno chciała. Jennie Jerome była niezwykłą kobietą i jej to syn zawdzięcza, a nie ojcu — znamię swej własnej wielkości.

rzeźby, a w konsekwencji i architektury. Muzyka stanowiła największą zagadkę dla renesansowych humanistów. Próbowano ją odrodzić w formie starożytnej, lecz tu trudność była oczywista — strożytność nie miała muzyki. Nie rozumiemy tego skrajnie, lecz niezaprzeczalnym faktem jest, że dostępne nam źródła wykazują, iż u starożytnych brak było zainteresowania muzyką na większą skalę. Wiązało się to z wierzeniami ówczesnymi, że muzyka jest przywilejem bogów, wobec czego śmiertelni nie powinni zbyt się nią zajmować — bardziej realne tłumaczenie tego leży chyba w fakcie, że technika starożytnych nie zdołała po prostu stworzyć wystarczająco ekspresywnych instrumentów, by myśleć o muzycznych wyżynach. Jedynym wyjątkiem jest tu harfa, która w swej obecnej formie należy do najbogatszych tonacyjnie instrumentów. Muzyka starożytności stnowiła tak odległy pierwiastek od życia codziennego, że w epoce tej nie wynaleziono nawet zadawalającego sposobu jej zapisywania. Trudno powiedzieć, czy europejska cywilizacja coś na tym utraciła, zwłaszcza, że niezainteresowanie starożytnych muzyką spowodowało wzmożone zaangażowanie w innych dziedzinach sztuki, w którego doniosłość niewielu chyba wątpi.

Renesansowy powiew nowych idei zastał muzykę europejską już w pewnym stopniu rozkwitu. Istniała więc muzyka ludowa, która rozwija się w każdej nawet najbardziej prymitywnej kulturze do jakiegoś poziomu, istniała muzyka dworska będącą kombinacją poezji recytowanej i śpiewanej oraz muzyka ceremonialna i wojskowa mająca za zadanie budzenie respektu poddanych w czasie obchodów czy ukazywania się oficjalnego feudałów, a wreszcie była najbardziej z tych wszystkich zaawansowana muzyka kościelna ze swymi nieśmiertelnymi śpiewami gregoriańskimi.

Już w wieku dziesiątym można znaleźć przykłady zaawansowanej muzyki kościelnej akompaniującej śpiewom gregoriańskim. W średnio-wieczu osiągnęła ona swój szczyt

w polifonii, w której kompozycja składała się z niezależnych tematów melodycznych rozwijanych równocześnie obok siebie stopniowo z zachowaniem harmonii. Ogromny wkład mieli tu organiści katedralni z Notre Dame i Akwizgranu jak również z wielkich klasztorów. Wreszcie jednak weszła ona na nowe tory w wieku szesnastym dzięki kilku wybitnym kompozytorom, spośród których Palestrina wzbil się niechybnie najwyżej. Pozostał on ojcem wielkiej muzyki europejskiej. Pisał w większości muzykę kościelną, lecz świeckie jej możliwości zaczęły się stawać coraz bardziej wyraźne. Rozwój muzyczny w tym kierunku poczynił wielkie kroki w drugiej połowie szesnastego wieku, gdy zaczęto tworzyć pieśni i kompozycje organowe nie mające już bezpośredniego powiązania z tematyką kościelną, a potężny bodziec znalazł się w tradycjach dworskich z ich rozrywkowymi tańcami i balladami trubadurów.

Około roku 1600 grupa poetów i muzyków w dworze książąt de Medici we Florencji nazywających siebie „Camerata“ postanowiła odrodzić tragedię starożytną w połączeniu z muzyką. Nikt chyba nie zdawał sobie wtedy sprawy, jakie znaczenie miało mieć to przedsięwzięcie dla całej historii muzyki europejskiej — oto bowiem powstała opera. Kilku pierwszych kompozytorów operowych, jak Jacobo Peri sięgało do motywów mitologicznych i powołało do życia tę tak typową europejską formę artystyczną w swej sztucznej strukturze mającą przynieść rozrywkę florenckim książętom. Szczęśliwym trafem nie trzeba było długo czekać na geniusza, który nadałby siłę temu nowemu medium. Podczas gdy Palestrina ukazał możliwości techniczne i tematyczne rozwoju muzyki — w kilkadziesiąt lat później Claudio Monteverdi dał pierwszy przykład ich genialnego wykorzystania i wskazał kierunek ich ewolucyjnego postępu. Palestrina położył podwaliny pod wielką muzykę europejską — Monteverdi ją stworzył. Jego opery, z których najbardziej znane są „Orfeo“ i „L'In-



coronazione di Poppea", były pracami nowatorskimi, gdyż po raz pierwszy muzyka podniesiona w nich została z roli akompaniującego tła do muzyki samej w sobie symbolizującej nastroje w danych scenach — czyli z pociągającej i melodyjnej, dzięki geniuszowi Monteverdi'ego stała się ekspresywną i to właśnie była wiekopomnym osiągnięciem kompozytora. Jak jednak dzieje się z wielkimi amatorami, po śmierci Monteverdi'ego jego prace poszły w niepamięć, choć muzyka rozwijała się po liniach przez niego wytyczonych. Wiek siedemnasty miał wielu twórców, z których być może największymi byli: Henry Purcell w Anglii i ów florencki skrzypek Jean-Baptiste Lully, któremu Ludwik XIV powierzył kierownictwo francuskiej „Académie royale de musique“ w roku 1672. Obaj oni mają swe największe osiągnięcia na polu opery i obaj zajmują wysokie w jej historii miejsce, udoskonalając sceniczną ekspresywność, muzyczną głębię i bogactwo.

Późny barok przynosi inny rodzaj muzyki w całej swej świetności — muzykę intelektualną coraz silniejszą w niej kompozytorską indywidualność. Pierwsza połowa wieku osiemnastego to epoka Bacha i Händla. Händel przede wszystkim zajmuje się operą włoską. Ten na wskrós wykształcony muzycznie i utalentowany kompozytor zdecydowany był zrobić na swych zdolnościach karierę i dokonał tego zostając pierwszym muzykiem na dworze angielskim. Bach jednak koncentruje się na muzyce instrumentalnej choć pisze również oratoria i pieśni chóralne. Niektórzy krytycy nazywają go ojcem nowożytnej muzyki i jest to usprawiedliwione tym, że Bach był pierwszym kompozytorem, który na wielką skalę uwolnił muzykę od śpiewu. Jego koncerty brandenburskie oraz fugi i tokaty to wszystko pierwsze nieprzemijające przykłady muzycznej wizji intelektualnej i wartości abstrakcyjnych samych w sobie, nie powiązanych ze scenicznym wyobrażeniem ludzkiego życia. Podobne dzieła pisał zresztą i Händel jego Concerti Grossi oraz koncerty organowe posiadają niezaprzeczalną moc i głębię. Nie można też tu pominąć Vivaldiego, którego „Cztery pory roku“ są przykładem wiel-

kiego odczucia poezji tonów. Nieco później muzyka instrumentalna znajduje innego wielkiego twórcę w mistrzu klawesynu Dominiku Scarlattim, lecz oprócz niego nie ma innych prawdziwie utalentowanych kompozytorów, którzy by całkowicie poświęcili się muzyce bez śpiewu. I opera znowu bierze pierwsze miejsce w świecie artystycznym.

Francuską operę barokową doprowadził do świetności jeden z najwybitniejszych kompozytorów osiemnastowiecznych i pierwszy wielki kompozytor francuski Jean-Philippe Rameau.

Jeszcze za życia Händla zabłysnął na krótko w twórczości operowej Giovanni Battista Pergolesi, którego talent znalazł odrazu wielbicieli i zdobył światowy poklask. Mimo to jednak opera przeżywała wtedy okres upadku. Śpiew operowy stawał się popisową, akrobatyczną monstrualnością, gdzie im wyższe tony potrafił wydobyć śpiewak tym większa była jego zasługa. Druga połowa stulecia przyniosła reformę opery i nowe horyzonty w osobie kompozytora tej miary co Krzysztof Wilibald Gluck, który wskrzesił i ożywił uległą metodycznej korupcji muzykę przez odrzucenie wszelkiej narosłej z wiekiem przesady, wprowadzenia na nowo tenorów na miejsce męskich altów oraz stworzenie muzyki pełnej uczuciowej prostoty oraz piękna.

Druga połowa wieku osiemnastego przynosi ogromny postęp — oto Joseph Haydn stwarza wielką symfonię. Medium to/ absorbuje go bez reszty, widzi on jego nieograniczone możliwości na przyszłość i sam choć pisze też wiele innych rzeczy, między którymi „Stworzenie Świata“ jest arcydziełem nieśmiertelnym, pracą jego życia są symfonie, których napisał sto. W jego ślady wchodzi Mozart — geniusz który w krótkim swym życiu zbiera też wszystko co najlepsze w muzyce epoki klasycznej i nadaje jej koloryt, dramatyczność i urzekający czar. Gdzie tylko obróci swe zainteresowania tam zbiera laury godne swej wielkości. Rzuca się w wir inwencji Niemca i pisze ponad 40 symfonii, których sam Haydn by się nie powstydział; podejmuje operę włoską Glucka i stwarza dzieła niezapomniane otwierając przed światem mo-

żliwości, o których Gluck nie śnił; z pasją poświęca się klawesynowi i pisze cały szereg koncertów, które przewyższają dzieła starego mistrza Scarlattiego. Wreszcie w okresie Wielkiej Rewolucji otrzymujemy pięć koncertów fortepianowych, dziewięć symfonii, a wszystko na miarę epokowych dzieł kultury europejskiej. Twórcą ich jest Beethoven. Beethoven był nie tyle technicznym nowolatorem, ile tematycznym geniuszem, dlatego mówi się o nim zwykle jako o ostatnim z wielkich kompozytorów okresu klasycznego. Muzyka jego to ekspresja o dramatycznych cechach i wielkiej idei przewodniej — nadziei dla rodzaju ludzkiego. Był on przeciwny pesymizmowi Voltaira i despotyzmowi w systemach społecznych epoki. Często mówi się o nim jako o „dziecku rewolucji“ ponieważ wierzył głęboko, że ludzkość warta jest wolności i sprawiedliwości.

Niektórzy krytycy twierdzą, że przebliski romantyzmu dają się zauważyć w dziełach Beethovena i Schuberta; za szerzej jednak uznaną granicę między klasycyzmem a romantyzmem jest uważany „Freischutz“ Webera wystawiony po raz pierwszy w Berlinie w roku 1821-ym. Romantyzm to przede wszystkim zerwanie z muzyczną formą epoki klasycznej i stworzenie muzyki, w której kompozytor może się poruszać swobodnie i rozwijać myśli i idee bez ograniczającej mu to „stylizyki“ muzycznej. Chopin i Schumann to dwaj najbardziej niezaprzeczalni romantycy tego okresu. Liszt często również zaliczany jest do tego grona, lecz pamiętać tu należy, że prawdziwie filozoficzna muzyka Liszta jest zupełnie różna od romantyzmu pozostałych dwóch kompozytorów. Berlioz, też jest zagadką w swej indywidualnej buntowniczości wobec wszelkich przepisów muzykologicznych. Pomijając te opinie, należy obiektywnie stwierdzić, że formy ekspresji zostały, jeśli chodzi o fortepian, rozbudowane i pogłębione przez najpierw Chopina w kierunku lirycznej uczuciowości a później Liszta w bardziej skomplikowanym kierunku walki wewnętrznej. Orkiestralne możliwości wykazane zostały i udoskonalone przez Berlioza choć jego własne prace nie zostały pochlebnie przyjęte przez współczesnych.

Nie należy też pomijać wkładu, jaki miał Paganini w rozwój techniki skrzypcowej, których wielką przyszłość przewidział już dwieście lat wcześniej Monteverdi. W drugiej połowie wieku dziewiętnastego ukazują się Debussy i neo-klasycy jak Brahms, a później wreszcie neo-romantycy jak Rachmaninow. Wszystkie to wolno prowadziło do nowej epoki w poważnej muzyce europejskiej, lecz najpierw przyjrzyjmy się operze, mającej większy jeszcze wpływ na pierwszą połowę wieku dwudziestego niż by się mogło zdawać.

Przez Webera opera niemiecka osiągnęła wreszcie swój szczyt w Wagnerze i stała się zarówno wyrazem patriotyzmu jak i wyobrażeniem sił metafizycznych i elementu silnie mistycznego. We Francji odrzucono opery Berliozą przynoszącego dramata w samej muzyce i wobec tego opera francuska rozwija się po bardziej umiarkowanych liniach osiągnając zresztą pełne gracji wyżyny w pracach Offenbacha, Gounoda czy wreszcie Bizeta. Europa środkowa i wschodnia, a więc kraje słowiańskie wydały cały szereg kompozytorów jak Rymski-Korsakow, Czajkowski, Moniuszko, Bedrych, Smetana czy Mussorgski — opery ich jednak pozostały w pierwszym rzędzie operami narodowymi i wpływ ich był ograniczony. Inaczej rzecz się miała z operą włoską. Przechodząc efektowną metamorfozę w rękach Rossini'ego, Donizetti'ego i Bellini'ego doszła ona do swego szczytu w Verdi'm zyskując u niego pozycję dramatycznego spektaklu scenicznego o przebogatej muzyce, pełnej pasji, ilustrującej ludzkie uczucia i tragedie z siłą i wyrazem. Po Verdi'm nastąpił we włoskiej operze prąd zwany „verismo“ — forma adaptacji życiowej codzienności dla celów operowych — jak głosili apostołowie tego prądu. Rezultatem było wprowadzenie muzycznego napięcia i tonacyjnych kontrastów w formie bardziej drastycznej niż u Verdi'ego i przypominającej tu technikę Berliozą, zachowano jednak wypracowane przez stulecia „bel canto“. Wtedy to właśnie forma śpiewu w ten sposób stworzonego przez Puccini'ego i innych uległa powszechnemu zniekształceniu w miarę jak adaptowano ją do innych me-

diów. Wraz ze śpiewem operetkowym Straussa operowe „bel canto“ i żywcem niemal czerpana tematyka Pucciniego — stały się punktem wyjściowym dla muzyki pisanej już teraz coraz bardziej masowo dla radia i filmów oraz nagrywanej na płytach, w celu rozrywkowym. Oczywiście było, że taka masowa produkcja odarła utwory te z jakiegokolwiek dramatycznej ekspresji i pozostawia je w sferze sentymentalnej, zgranej i pociągającej harmonii. Muzyka tego rodzaju jest do dziś lubiana przez ogromną większość słuchaczy amatorów. Właściwie do drugiej wojny światowej w Europie dominowała muzyka popularna czyli szlagerowa.

Wspomniana wyżej forma popularna otrzymała po drugiej wojnie światowej nowy element afrykański, zmysłowy rytm, który bardzo zmienił jej charakter. Równocześnie wyparty został śpiew, pochodzący w prostej linii od operowego „bel canto“, który wymagał od śpiewającego pewnego minimalnego poziomu czystego głosu, w możliwie najlepszy sposób naśladowującego głos zawodowego śpiewaka operowego. W nowym pokoleniu piosenek, zwłaszcza od przyjścia do sławy „Beatles“, śpiewać mógł każdy kto tylko zdecydował się śpiewać. Produkcja ta znowu w następnych kilku latach zalała rynek dzięki łatwości, z jaką nagrywa się płyty i z jaką się je sprzedaje. „Beatles“ przez pierwszy długi okres swej kariery nie wykazywali jednak tematycznej oryginalności i zdobyli popularność dzięki świeżości swej interpretacji i wprawemu użyciu perkusji. Przy nich powstała wielka ilość innych zespołów dających muzykę o podobnym zasięgu. Ostatni okres ich twórczości charakteryzuje się jednak większą indywidualnością i mocniejszym odzwierciedleniem talentu. Nowy rodzaj muzyki o bardzo progresywnej strukturze reprezentuje mieszkający w Anglii amerykański wirtuoz gitarowy Jimi Hendrix oraz nie istniejący już w tej chwili zespół „The Cream“, którym zainteresował się bardzo Igor Strawiński. Trudno jednak w tej chwili przewidzieć, jakie wpływ będą oni mieli na przyszły rozwój muzyki. Innym prądem, który stał się dość popularny w Europie to jazz stworzony oryginalnie

przez potomków niewolników amerykańskich z Nowego Orleanu. Z czasem prąd ten rozwinął u siebie własny styl śpiewu, który narzucił się europejskiej muzyce popularnej, a który zarówno jak i muzykę cechują wiele emocjonalne impresje.

Wracając raz jeszcze do poważnej muzyki instrumentalnej trzeba stwierdzić, że po przemianach neo-romantyków muzyka symfoniczna i koncertowa zaczęła powoli wchodzić w stadium wielkiej zagadkowości. Piszący w pierwszej połowie dwudziestego wieku kompozytorzy jak Maurice Ravel, Sybelius, Prokofiew, Strawiński czy Szostakiewicz wykazywali wiele inicjatywy i osiągnęli niejednokrotnie imponujące efekty, lecz przez to nie wskazali dróg do dalszego rozwoju. Późniejsi kompozytorzy, wśród których na uwagę zasługują Benstein i Penderecki, są przykładem dwudziestowiecznego poszukiwania w muzyce. Obie symfonie Bernsteina oraz „Pasja“ czy „Auschwitz Oratorio“ Pendereckiego wykazują emocjonalną ekspresyjność, przekazaną w bardzo progresywnej formie. W dniu dzisiejszym jest zresztą cały szereg kompozytorów, z których ogromna większość poświęca się częściowo pisaniu muzyki do filmów. Wraz z eksperymentami w muzyce elektronicznej i nowymi kierunkami muzyki symfonicznej można się spodziewać wielkiego rozkwitu muzyki w przyszłości. Trudno przewidzieć jednak, jaki kierunek rozkwit ten przyberze.

PO DŁUGOLETNIJ PRZERWIE  
ZNOWU NA PÓLKACH  
KSIĘGARSKICH

## DZIAŁANIA 2 KORPUSU WE WŁOSZECH

Tom I.

z przedmową  
gen. Władysława Andersa,  
pod redakcją  
ptk. dypl. dr S. Biegańskiego

Str. 664.

Wykazy, indeksy, szkice.

Oprawa płócienna.

Cena: 63/-.

Koszt przesyłki 4/6.

Należy zamawiać:

**w Księgarni S.P.K.**

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.



# Zaczarowany las i jego mieszkańcy

EPILOG 20-LECIA SZKOŁY POLSKIEJ PRZY KOLE SPK W MANCHESTER

Jakiś czas temu „Dziennik Polski“ zamieścił artykuł o 20-leciu szkoły polskiej w Manchester, przedstawiający jej wzrost w czasie 20 lat od 8 do 450 uczniów i osiągnięcia, wyrażające się między innymi w cyfrze 39 uczniów zdających w tym roku egzamin z języka polskiego na tzw. „O Level“ (Joint Matriculation Board) i 16 uczniów na tzw. „A Level“ (Uniwersytetu Londyńskiego).

## W SZKOLE

Obchód 20-lecia szkoły w Manchester zasięgiem swym wykroczył daleko poza Manchester. W sobotę 3 maja odbyła się wizytacja szkoły przez ks. Infulata Władysława Staniszewskiego w towarzystwie proboszcza ks. prałata J. Basa, przedstawicieli władz głównych SPK i Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego pp. Bojczuka i Czaplńskiego oraz miejscowych organizacji społecznych. Roześmiany, radosny tłum dzieci wypełnił szkolną halę. Idziemy od klasy do klasy, w niektórych klasach wysłuchujemy przygotowanych deklamacji i piosenek, we wszystkich rozmawiamy. W polsko-angielskiej klasie p. Danusi Arnold słuchamy piosenek ilustrujących zdarzenia przedstawiane na obrazach — „pomocach naukowych“, obficie używanych w tej chyba najtrudniejszej grupie. I tu, jak w całej szkole trud tętni radością i weselem. Dziesiątki rąk podnoszą się na pytania, kto jedzie na Monte Cassino, na ko'onie zuchowe, kto należy do zespołu tańców ludowych, aż dochodzimy do klasy najstarszej, właśnie wyprawianej w świat przez p. Basiurską, by zobaczyć siedzących obok siebie drużynowego drużyny harcerskiej im. Adama Mickiewicza, prezesa koła K.S.M.P. oraz kilku prymusów katolickich szkół angielskich, doksztalających się tu w sobotę w mowie ojczystej i w... flircie ojczystym.

Gospodarze nadziewają nas niczym przysłowiowe indyki drugim śniadaniem, przygotowanym przez Panię z Koła Rodzicielskiego i obiadem (południowym) w Kole Polskim. podanym po popisie i zwiedzeniu klas drugiego oddziału szkoły, mieszczącego się w lokalu Koła Polskiego.

## W DOMU KOMBATANTA

Wieczorem „Zjednoczenie Polskie w Manchester“ podejmuje obiadem wieczornym w Domu Kombatanta miejscowego biskupa Tomasza Hollanda, wielkiego przyjaciela Polaków. Obiad zgromadził poza wymienionymi już gośćmi

nieomal całe grono nauczycielskie (26 osób), i przedstawiciele wszystkich organizacji polskich w Manchester. Na przemówienie przewodniczącego Zjednoczenia odpowiada Ks. Biskup. Wraca wspomnieniami do czasu wojny, gdy jako biskup wojskowy marynarki brytyjskiej, udzielał sakramentów świętych zabitym i rannym na pokładzie krążownika „Dragon“ w czasie inwazji na kontynent przed operacją na Falaise, a więc w ostatniej akcji krążownika. Oficerem artylerii na tym samym okręcie był wówczas siedzący obok Biskupa inż. T. Lesisz, dziś architekt w Manchester, którego dziełem jest przebudowa kościoła polskiego w Manchester i jego witraże. Wspomnienia Biskupa nawiązują do obchodu Tysiąclecia Chrztu Polski w Manchester. Akcentem głównym jego przemówienia jest zrozumienie dla własnych potrzeb religijnych, kulturalnych i narodowych Polaków osiadłych po 2-iej wojnie światowej w W. Brytanii. Żegnamy Biskupa wręczając Mu album Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej.

## W KOŚCIELE POLSKIM

Dzień niedzielny (4. V.) zaczął się od mszy św. w polskim kościele. Przed mszą jeden z najbardziej wzruszających momentów obchodu. Wnętrze kościoła ostatnio przebudowano dla dostosowania do nowej liturgii mszalnej. Dzieci szkoły polskiej w Manchester zebrały ze swych drobnych datków £105 na nowe tabernaculum. W imieniu dzieci szkolnych czek na tę sumę wręczyli przed ołtarzem Krysią Lesisz i Marek Wałach. Piękne to dzieło ofiarności dziecięcej, wychowania dzieci w zrozumieniu potrzeby utrzymywania własnego kościoła, było zarazem uwiecznieniem wychowawczej pracy siostry Gertrudy, tej samej, która z drobnych dziecięcych datków przystraja kwiatami kościół przez cały rok. Msza święta dla dzieci szkolnych. Jak każdej niedzieli w ciągu roku szkolnego. Cały środek kościoła wypełniony dziatwą szkolną. Dziś msza św. specjalnie uroczysta, celebrowana przez ks. infulata Staniszewskiego jest odprawiana w intencji dzieci polskich na całym świecie.

## „ZACZAROWANY LAS“

Wielka sala Domu Kombatanta wybita do ostatniego miejsca. Krótkie słowo wstępne nawiązuje do święta religijnego Królowej Korony Polskiej, do rocznicy Konstytucji 3-go Maja i do lokalnego obchodu 20-lecia szkoły. Przypomnienie,

że i w radosnej pracy oświatowej trzeba mieć świadomość konieczności wyboru pomiędzy 3-im Majem a Targowicą, wyboru, który obowiązuje i dziś, specjalnie na uchodźstwie. Podziękowania dla grona nauczycielskiego z p. Olgą Trybuchowską na czele za dwudziestoletni ofiarny trud.

I już jesteśmy „w pokoiku Zosi“. Banała nieomal historia Zosi (Bernadetta Tendyra) nie szanującej książek, rzucającej zabawkami po kątach z wyjątkiem ostatniej ulubienicy Lalki Prunelli (Ewa Lange). Młodzi aktorzy nie przejmują się zbyt publicznością. Za to świetnie bawią się sami, a serca widzów radują doskonałą polszczyzną i fenomenalnym opanowaniem i zrozumieniem tekstu. Zaczarowany Parasol (Grażyna Kozłowska) nie jest zwykłym parasolem, jej rączka jest z drzewa z zaczarowanego lasu i za jego to przyczyną dźbiać się będą cuda, a tańczy ten parasol świetnie, jak kiedyś (jakże to dawno, 10 lat temu!) jego mamusia. Lalka Dorotka (Dia Bornek) odrzucona, szatki polatane. rączka usztywniona, gra świetnie, śpiewa ślicznie. Jest oczywiście i lepsza (czy poprostu starsza, jak kto woli), siostra Marysia (Urszula Zajac), jest Bąk (Elżbieta Wójtowicz) we wspaniałej tęczy ogromnego ronda. Książka z czterema ślicznie ilustrowanymi bajkami (Anna Stadtmueller) ledwie porusza się po scenie, obarczona ciężarem sżni-stych kartek, ale gdy odsłoni kolejną bajkę lub zaśpiewa piosenkę zdobywa najpiękniejszą nagrodę młodej publiczności w postaci okrzyku „ach!“ w tonacji, ma którą starsi widzowie już się zdobyć nie potrafią. Spod stołu wyłazi Miś (Stefan Żaba) wspaniale kichający, wiecznie za uchem drapiący się partner Lalki Dorotki, który pierwszy swym niedźwiedzim mosem wyczuł i uświadomił sobie, że i on Miś do zabawy i wszystkie lalki i zabawki za sprawą zaczarowanego parasola urosły na o!brzymów.

W akcie drugim zabawki uprowadzone przez Parasola do Zaczarowanego Lasu mają dziesiątki przygód. Książka pogubiła bajki, wszystko się pomieszało. Ale w lesie żyją krasnoludki. Wspaniały to lud, którego motto, chóralnie skandowane, brzmi: „Wszystkim, co kłopoty mają, krasnoludki pomagają!“ Krasnoludki te — Elżbieta Bogdan, Andrzej Brylski, Krystyna Deptuch, Marek Kozak, Marek Pawlik, Ewa Pitulska, Krystyna Rytwińska, Wanda Uciniek — pracują zawzięcie, ale wesoło tak, jak pracować należy. Gdy jeden z muchomorzków pogu-



Powitanie ks. infułata W. Staniszewskiego w Polskiej Szkole Sobotniej im. św. Stanisława  
Kostki w Manchester przy Rejonowym Kole SPK

bił kropki, nalepianie kropek i ich malowanie na nowo odbywa z rozmachem i werwą, która przydałaby się członkom niektórych związków zawodowych w tym kraju. A grzybków w tym lesie cała gromada: Anna Dorożkiewicz, Anna Marczak, Elżbieta Marczak, Krystyna Rejwer, Urszula Sauć, Joanna Starczewska, Barbara Soczywko. Ścisk już na obszernej scenie w zaczarowanym lesie, a jeszcze zaludniają go postacie bajek: czerwony kapturek (Bernadetta Tendyra w swej drugiej roli), Królewicz (Tomasz Kossowski), Jaś (Marek Walach i Małgosia (Anna Brylska). Czerwony kapturek ubiera srebrny pantofelek (gorzko odpokutuje ten podstęp i pomieszanie bajek w akcie trzecim), który leży jak ulany i tańczy z Królewiczem gawota, jeden z tańców wypieszczonych przez p. Janinę Słowińską przy muzyce p. Renaty Ilnickiej-Włodarczykowej. Czarownica (Maria Bardzińska) z wielkim nosem i ogromną miotłą straszy i bawi doskonale.

W akcie trzecim przy udziale duszków leśnych — Alicja Borysowska, Danusia Andrzejczuk, Joanna Doroszkiewicz, Danuta Kucharska, Małgorzata Myszor. Danuta Pałubiak, Krystyna Starczewska — i za sprawą dobrej Królowej Lasu (Anny Sergot) wszystko kończy się jak najpomyślniej. Ale zanim się skończy Królowa Lasu wyjeżdża na wspaniałym, białym (made from polystyrene) łabędziu wykonanym przez cech mistrzów teatralnej rekwizytorni z „Polnische Strasse“ w pobliskim Stretford. Ci magicy w osobach pp. Stadtmullera, Schullera i Sergota porobili do tego przedstawienia szkolnego jak i do dziesiątka in-

nych w Manchester wszelkie potrzebne rekwizyty. Firmy angielskie zatrudniające wymienionych i niewymienionych entuzjastów pracy społecznej w Manchester zasługują na specjalne podziękowanie — choć może lepiej o tym głośno nie mówić — za obficie dostarczane metry kubeczne plastyku i podobnych materiałów, charge free.

Krasnoludki rozpoznają swą Królową Śnieżkę (Barbara Chlebiak), Babcie Czerwonego Kapturka (Barbara Stryjak) spełni się marzenie, by raz w życiu zatańczyć z królewiczem w pierwszej parze, wszystkie bajki wrócą do książki na swe kartki, a wszystkie zabawki zdecydują się powrócić do pokoiku Zosi. Przedtem nim kurtyna zapadnie Królowa Lasu zaprosi jednak wszystkie zabawki i wszystkich widzów, by ile razy będzie im ciężko przychodziły po piękno, wycchnienie i radość do lasu.

Półtoragodzinne widowisko dobiegło końca. Rozradowana publiczność zgotowała prawdziwą owację autorce Ewie Klocek obecnej na przedstawieniu, reżyserowi — Oldze Trybuchowskiej, paniom Włodarczykowej (opracowanie muzyczne i akompaniament), Słowińskiej (tańce), Arnold (scenografia), Basiurskiej, Wallowej (kostiumy). Bardzo udana charakteryzacja była dziełem St. Basiurskiej, Marii Wallowej i St. Garbiaka. Piękne, pamiątkowe programy, oparte na polskich motywach ludowych, projektu H. Barańskiego, drukowane przez manchesterską Gutenberga — Z. Piątkowskiego, a indywidualne kolorowane przez dzieci szkolne, sprzedawała skrzętnie brygada uczennic drugiej gimnazjalnej

w strojach ludowych, pod bacznym okiem Jasi Sergot.

#### POWTÓRZENIA

„Zaczarowany Las“ treścią swą i wykonaniem, a nade wszystko czarowną grą dzieci podbił serca publiczności w Manchester. Toteż natychmiast trzeba go było powtórzyć w niedzielę 11 maja, znów przy szczernej wypelnionej sali.

W niedzielę 1 czerwca dano widowisko poraz trzeci, a w niedzielę 29 czerwca po raz czwarty. W sumie widowisko oglądało 1.400 dzieci i dorosłych.

W niedzielę 1 czerwca na przedstawienie przyjechały do Manchester dzieci i nauczycielstwo ze szkół polskich w Ashton under Lyne, Blackburn, Bradford, Bury, Huddersfield, Preston i Sheffield. W niedzielę 29.6. na przedstawienie przybyło szereg kierowników i nauczycieli szkół angielskich, do których uczęszczała dzieci polskie w Manchester.

Skończył się obchód 20-lecia szkoły polskiej w Manchester. Trudno przesądzać ile z niego zostanie w pamięci młodych aktorów i widzów. Chyba Tadzio zapamięta, że z okazji jubileuszu potrafił zjeść sześć porcji lodów, pomimo, że budżet Koła Rodzicielskiego przewidywał tylko jedną porcję na ucznia. Piosenki wyuczone na jubileuszowe przedstawienie zostaną w pamięci, może i na całe życie.

Ale zostanie po tym obchodzie w wielkiej polskiej gromadzie w Manchester i w jego bliskiej i dalekiej okolicy przede wszystkim pamięć jeszcze jednego, społecznego wysiłku, dobrze wykonanego przez duże grono ofiarnych ludzi.





Młodzi wykonawcy sztuki „Zaczarowany las“, granej na 20-leciu szkoły.

Okazuje się, że dzieci uczące się w szkole polskiej, biorące udział w polskich organizacjach, np. w harcerstwie, nie tylko nie tracą przez to w szkole angielskiej, ale przeciwnie często w szkole angielskiej przodują, stają się jak gdyby duchowo bogatsze. Myślę, że podobnie ma się rzecz w ogóle z pracą społeczną. Myślę często, że Polacy nie biorący w niej udziału, trzymający się na uboczu, tracą wiele, zubożają siebie. W trudnych warunkach, na obcej ziemi z gromadnego, solidarnego wysiłku powstają piękne dzieła, szkoły, organizacje, parafie. Wspólna praca wzbogaca duchowo, daje przeżycia, których nie zastąpi żaden sukces materialny, żadna kolejna podwyżka czy „overtime“. Wyrósł tu na obcej ziemi jakby zaczarowany

polski las, w którym spotykają się starzy i młodzi, przeżywają razem swoje piękno i dobro. Tak, tak, ten polski las jest również jakąś ucieczką od obcej nam często, a czasem i wrogiej rzeczywistości. Ale jest też źródłem siły i otuchy.

Czy w pracy szkolnej w Manchester, czy w pracy społecznej w Manchester i poza Manchesterem nie ma rzeczy złych, małych, śmiesznych? Ależ są, są! Jest ich wiele, szczególnie ludzkich śmieszności, małych ambicji, uraz — jak w każdej gromadzie ludzkiej, jak w każdym zbiorowym działaniu. I w najpiękniejszym lesie są suche gałęzie i muszą z wiekiem opaść, najpiękniejsze kwiaty przekwitnąć, a ilość miejsca na każdej słonecznej polanie jest ograniczona. Ale

gdy przy okazjach takich jak dwudziestolecie pracy największej polskiej szkoły w W. Brytanii patrzę wstecz na minionych lat dwadzieścia pracy społecznej, na zbiorowy wysiłek organizowany przez działaczy, obejmujący tysięczne rzesze w obrazie całości dominują barwy jasne, osiągnięcia pozytywne. Wśród tych osiągnięć przekazanie młodemu pokoleniu polskości wraz z jej zbiorowym wyrazem zajmuje miejsce naczelne. Nie jest to dzieło zakończone i nigdy zakończone nie będzie. Ale dzieło to trwa i żyje w pracy starszego pokolenia, czasem tu i ówdzie już zmęczonego, w szeregach młodzieży wchodzącej w nasze życie społeczne i w najmłodszych mieszkańcach „Zaczarowanego Lasu“.

Jarosław Żaba

**STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW  
i  
GRYF PUBLICATIONS LTD**

z a w i a d a m i a j a ,

że ukazała się w związku z 25-leciem walk Żołnierza Polskiego we Włoszech niezwykle ciekawa i barwna opowieść o słynnym w historii 2-go Korpusu Polskiego niedźwiadku:

**W. A. LASOCKI**

**W O J T E K**

spod

**MONTE CASSINO**

z ilustracjami Ireny Ludwig

Cena: 12/6

Z a m ó w i e n i a p r z y j m u j e :

KSIEGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE,  
LONDON, S.W. 7.

JÓZEF GARLIŃSKI

**POLAND, SOE**

and the

**ALLIES**

„Każdy, kto chce poznać jedną z największych tragedii naszych czasów, musi przeczytać tę książkę“.

M. R. D. Foot (Sunday Times)

Cena: 35/-

Wydawca: George Allen and Unwin

Do nabycia:

w **KSIEGARNI KOMBATANCKIEJ**

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

**POLSKA GRUPA TANECZNA  
„POLONEZ“ W MELBOURNE**

Przed trzema laty, w okresie nasilenia imprez ku czci Millenium Polski, z resztek różnych lokalnych grup tanecznych w metropolii Melbourne. powstała Polska Grupa Taneczna „Polonez“.

Trzy lata wytężonej pracy wspianolej polskiej młodzieży, ich opiekunów Pań. J. Czechowej, Górskiej i innych, a przede wszystkim zapał i poświęcenie instruktora i choreografa Grupy p. Mariana Maja sprawiły to, że dzisiaj Australia posiada swoje „Mazowsze“.

O postępach i poziomie artystycznym Polskiej Grupy tanecznej POLONEZ napisano [już wiele artykułów w polskiej prasie w Australii, przychylną krytykę zamieszcza również prasa australijska po każdym większym występie Grupy. Ale to nie wszystko. POLONEZ jest najlepszym przykładem czego można dokonać przy zapał i poświęceniu zespołu — przy dobrym prowadzeniu i podejściu do współczesnej młodzieży, przy daniu tej młodzieży konkretnego zadania.

POLONEZ odnosi sukcesy jeden po drugim — najpierw na terenie samego Melbourne (koncerty i festiwale w Melbourne, Frankston, Mayborough, w Melbourne University Hall itd.), a obecnie już poza Melbourne. Koncertem w dniu 2-go sierpnia br. na największej scenie Australii, w Canberra Theatre, koncertem zorganizowanym przez miejscowe Koło SPK pod protektoratem samej żony Generalnego Gubernatora Lady Aleksandry Hasluck, koncertem danym dla bardzo wybrednej i wymagającej publiczności w Canberra. — POLONEZ zdobył sobie pozycję, z której mu już zejść nie wolno. Udział w Koncercie 215 członków różnych ambasad, członków parlamentu federalnego, podsekretarzy stanu, profesorów uniwersytetu i członków instytutów naukowych itd. — listy z podziękowaniami i bardzo przychylna krytyka mówią same za siebie.

Ale, bo też amatorska grupa taneczna Polonez zasługuje w pełni na to uznanie. To już nie lokalny zespół, nie namiastki przepięknych strojów ludowych, ale grupa, z której Polonia w Australii może być naprawdę dumna, grupa, która może pokazać mieszkańcom tego dalekiego kontynentu prawdziwą sztukę i folklor polski. Jeden z profesorów uniwersytetu w Canberra powiedział do mnie, że... „Mazowsze“ odznaczało się precyzją interpretacji tańców ludowych, a „Polonez“ wkłada w te tańce serce.

Dwugodzinny koncert w Canberra Theatre (sala — 1.200 miejsc) — zostanie na długo w pamięci tych, któ-

## Z ŻYCIA POLSKIEGO

rzy wzięli w nim udział. Koło SPK No. 5 — Canberra należy pogratulować odwagi podjęcia tak wspianolego ryzyka finansowego, jakim było sprowadzenie z Melbourne 56-cio osobowej grupy, dla uczczenia 25-letniej rocznicy bitwy pod Monte Cassino.

POLONEZ, po trzech latach pracy dysponuje dzisiaj ponad 150-ciomą strojami regionu krakowskiego, rzeszowskiego, łowickiego, kurpiowskiego, a obecnie przygotowują się stroje góralskie i kaszubskie. Grupa tańczy w składzie 18-tu par plus soliści i dobry stonkowo duet piosenkarski w osobach Pań: Danuty Wołczko-Smołucha i Ireny Janus-Olchowik. Nadto POLONEZ dysponuje młodym narybkiem dzieci i młodzieży z polskich szkół Przedmiotów Ojczystych. Ogółem Polonez skupia ponad 120 młodzieży. Cotygodniowe próby taneczne w Domu Polskim przy 313 Latrobe Street, Melbourne napętniają gwarem, śmiechem i dźwiękiem polskiej mowy ten bastion polskości w Wiktorii.

POLONEZ składa się z młodzieży gimnazjalnej, uniwersyteckiej i tych, którzy pokończyli już studia, jak panna Barbara Czech, która nie tylko jest tancerką starszego zespołu, ale również nauczycielką najmłodszej grupy, oraz sekretarką zespołu. W klapach marynarek tancerzy widziałem Krzyże Harcerskie — powiedziano mi, że to młodzi drużynowi i przybocznicy Hufca „Podhale“ z Melbourne. Dwie tancerki — to uczennice Polskiego Gimnazjum w Melbourne — to chluba Prezesa Federacji Polskich Organizacji w Wiktorii, kol. S. Różyckiego.

Młodzież Poloneza ma własny zarząd, własną kasę, własną administrację, a przede wszystkim, przez siebie ułożony regulamin, Statut i niespotykaną dyscyplinę. Byłem zbudowany koleżeńską, grzecznością i dobrym wychowaniem tejże młodzieży, byłem zbudowany ich poważnym podchodzeniem do spraw polskich i emigracyjnych, byłem oczarowany czystością ich języka polskiego.

Grupa taneczna POLONEZ posiada swoją „mamę“, panią Janinę Czechową, żonę wieloletniego działacza społecznego z Wiktorii, Prezesa spółdzielni Domu Polskiego im. T. Kościuszki, która nie tylko jest opiekunką i powierniczką

ich trosk, której najpierw zwierają się z planów i zamiarów, ale która dla nich poświęca każdą swoją wolną chwilę, dziesiątki wieczorów i nocy na szydziu i przygotowywaniu strojów (ach — jakie to wszystko piękne, jak dobrze utrzymane, jak młodzież dba o te swoje skarby), która przelewa swój zapał w inne mamusie i tatusiów, którzy nawet do Canberra (412 mil) potrafili przyjechać za POLONEZEM, aby być świadkami ich zwycięstwa czy porażki.

Życzę Wam Kochana Młodzieży z Poloneza dalszych sukcesów, dalszej owocnej propagandy wszystkiego co prawdziwie polskie, a przede wszystkim życzę Wam utrzymania tej przemiłej atmosfery i koleżeńkości, jaka wśród Was panuje.

F. Hądzal

### 25-LECIE MONTE CASSINO

Wszystkie koła SPK zorganizowały w okresie sierpnia akademie, wieczorki koleżeńskie, wieczory recytacji przez młodzież szkół sobotnich, harcerstwo i koła młodzieżowe, pochody przez ulice miast, składanie wieńców pod pomnikiem Nieznanego Żołnierza, apele poległych i nabożeństwa. Najlepiej udane uroczystości odbyły się w Perth, Adelaide, Melbourne, Geelong, Brisbane, a następnie w Hobart, Canberra, Ballarat, Sydney i Newcastle. Nawet małe ośrodki jak Albury, uczęły tę rocznicę specjalnymi czynami.

SPK pomogło harcerstwu zebraną kwotą \$ 700 na zorganizowanie udziału młodzieży polskiej w zlocie we Włoszech; ufundowało 3 nagrody pieniężne za najlepsze prace w Australii w konkursie „Co wiem o Monte Cassino“; pomogło materialnie Hufcowi „Podhale“ w zebraniu funduszy na zakup spalonego w czasie pożaru sprzętu obozowego; ufundowało drzwi do kaplicy w Marayong; Koło SPK (Sydney wraz z Kołem A.K. oraz Kołem Lotników funduje sztandar dla Hufca „Polesie“. Zebrane już zostały pierwsze sumy na odrestaurowanie cmentarza w Casamassima we Włoszech.

W piśmie „Rats of Tobruk“ ukazało się kilka artykułów o wkładzie żołnierza polskiego do 2-jej wojny światowej. Red. R. Gronowski nie tylko zamieścił szereg artykułów w TYGODNIKU POLSKIM, ale także serią artykułów S. Zadroznego dał Polakom wiele przyczynków do najnowszej historii polskiej.

Hufiec „Podhale“ z Melbourne z inicjatywy niestrudzonych pp. Piskozubów zorganizował udaną wieczornicę pt. „Na szlaku żołnierza polskiego“.

„Saving Jews in War-torn Poland 1939-1945“

Brozura pod tym tytułem na temat pomocy udzielanej Żydom w czasie oku-



pacji ukazała się staraniem grupy współpracowników TYGODNIKA POLSKIEGO. Piszą w niej: A. Chciuk, J. Dobrostański, R. Gronowski, W. Jabłoński, J. Kostański, S. Kukawski, L. Paszkowski i Z. Żebrowski.

## FRANCJA

### ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA POLSKIEGO

W 49 rocznicę zwycięstwa odniesionego przez Armię Polską pod murami Warszawy nad armią Czerwoną, której ofensywa zagrażała nie tylko naszemu Krajowi, lecz całej Europie Środkowej i Zachodniej — tak jak co roku Federacja Polskich Obrońców Ojczyzny obchodziła uroczyste w dniu 15-go sierpnia Święto Żołnierza Polskiego.

Obchód rozpoczął się od mszy św., którą celebrował w kościele polskim ks. rektor Bernacki w asyście licznych księży.

Do wypełnionego po brzegi kościoła, przybyły polskie poczty sztandarowe.

Po południu odbyło się złożenie wieńca i wzniesienie znierza pod Łukiem Tryumfalnym przez gen. W. Piekarskiego, płk. G. Tysowskiego, oraz por. J. Winczakiewicza, przedstawiciele 2 Korpusu i 1 Dywizji Pancernej z okazji 25-letniej rocznicy walk tych oddziałów.

W ceremonii tej wzięło udział 14 pocztów sztandarowych w tym 3 francuskie. Przybyły polskie poczty sztandarowe z Paryża i jego okolic oraz z północnej Francji.

Udział rodaków oraz przyjaciół francuskich był b. liczny. W uroczystości wzięli m.in. udział delegat Fédération Européenne des Anciens Combattants oraz delegat American Legion.

## ROCZNICA

### INWAZJI CZECHOSŁOWACJI

W dniu 21 sierpnia br. w pierwszą rocznicę wkroczenia do Czechosłowacji wojsk Paktu Warszawskiego, Delegatura Polsko-Amerykańskiego Komitetu Emigracyjnego (PAIRC) w Paryżu, która od chwili inwazji Czechosłowacji opiekuje się uchodźcami czeskimi przybyłymi do Francji, zorganizowała dla nich w Domu Kombatanta w Paryżu obchód, aby upamiętnić tę tak tragiczną dla narodu Czechosłowackiego rocznicę, a tak haniebną dla Rosji sowieckiej i jej sojuszników.

Po obejrzeniu programu telewizyjnej francuskiej, która w wieczór ten nadawała film z inwazji sowieckiej na Czechosłowację, w 1968 r., tak Czesi w liczbie 78 osób, jak i Polacy udali do dużej sali Domu Kombatanta udekorowanej sztandarami czeskimi, francuskimi i polskimi.

Do zebranych Czechów wygłosił przemówienie p. Wrzala, kierownik Sekcji

Czeskiej Radia Francuskiego, który naszkicował przebieg wypadków w Czechosłowacji oraz obecną sytuację polityczną w tym kraju.

Następnie przemawiał p. P. Sapieha, dyrektor PAIRC na Europę, który w przemówieniu swym powiedział że Czesi, którzy są pod opieką PAIRC mogli się przekonać o rzeczywistych uczuciach Polaków do nich oraz do inwazji ich Ojczyzny.

Po nim przemówił p. J. Żłobnicki, delegat PAIRC na Francję, zapewniając, że Komitet dołoży wszelkich starań, aby pomóc nowym uchodźcom do przetrwania tego ciężkiego dla nich okresu i dopomożenią im do nowego startu życiowego.

## BELGIA

### NOMINACJE I PROMOCJA NA UNIWERSYTECIE LOUVAIN

Wykaz nominacji na Uniwersytecie Katolickim w Louvain przynosi kilka polskich nazwisk. Docentami na Wydziale Medycyny zostali dr Czesław Wielki, dr Jerzy Bogdanowicz, a dr Piotr Osiński st. asystentem. Na Wydz. Humanistycznym zaproszono na profesora w r. 1969/70 Jana Kotta z Polski.

### KOŁO SPK BRABANT

2 sierpnia w lesie pod Wavre odbyła się wzruszająca uroczystość ku czci rozstrzelanych Belgów przez Niemców w r. 1944. Pomnik w postaci olbrzymiego głazu cały pokryty był kwiatami. W imieniu Koła SPK Brabant wiązkę biało-czerwonych złożył kol. S. Merło.

### SZTANDARY... W NIEUPORT

Pierwsza niedziela sierpnia zgromadziła w Nieuport kombatantów belgijskich i alianckich. Po mszy św. otworzyli defiladę weterani z wojny 1914-1918. Szły delegacje francuskie, angielskie, amerykańskie, a w tym roku dołączyła także delegacja włoska.

Ogółem wzięło udział ponad 2.000 sztandarów. Przed pomnikiem króla Alberta przemówienie okolicznościowe wygłosił prezes kombatantów belgijskich p. Gerard. W imieniu delegacji polskiej wieńiec złożyli kol.kol. R. Łuczak i S. Merło.

Po południu na ratuszu odbyła się uroczysta akademія, w czasie której m.in. kol. S. Merło w imieniu SPK Belgia wręczył Krzyż Kombatantki dotychczasowemu organizatorowi Zjazdu Kombatantów w Nieuport, członkowi Komisji Kombatantkiej przy Ministerstwie Obrony i Min. do Spraw Rodzin i Zdrowia p. J. Strobbe.

## DELEGAT

### POLSKO-AMERYKAŃSKIEGO KOMITETU IMIGRACYJNEGO W OŚRODKU WAKACYJNYM W COMBLAIN LA TOUR

Prowadzony przez Macierz Wolnych Polaków w Belgii Ośrodek Wakacyjny w Comblain la Tour był w tym roku przepełniony. Dzieci polskich uchodźców z Niemiec, Holandii i Belgii spędziły w nim wakacje w atmosferze polskiej. Kolonie tego rodzaju mają duży wpływ — twierdzi dr R. Wilczek, prezes Macierzy — na poprawę języka ojczystego wśród dzieci. Wielka to zasługa ludzi, którzy wielkim wysiłkiem przyczyniają się do obrony naszych dzieci przeciw wynarodowieniu się. Do najbardziej zasłużonych w tej pracy zaliczyć należy: dr Wilczka, lekarza dr J. Bernata, J. Rzemienieskiego „gospodarczego“ Ośrodka, panie: Bardo i Załobkową i te panie, które swój czas wakacyjny w ciężkiej pracy kuchennej spędzają. Kierownikiem Ośrodka od lat jest ks. kanonik dr B. Kurzawa. Ośrodek został ostatnio rozbudowany. Delegat Komitetu Imigracyjnego w czasie swej wizyty wręczył dzieciwie słodycze imieniem polskich dzieci z Ameryki.

S. Merło

## INSTYTUT LITERACKI

PARYŻ 1969

Kazimierz Wierzyński

## SEN MARA

Poezje

Cena: sh. 18/6; F. 11.00; dol. 2.40

Księgarnia S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

*Do doskonała książka na nagrody młodzieży w szkołach przedmiotów ojczystych*

## ICH MŁODE LATA

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

*Opowieść o chłopcach z Legionów*

Cena: 9/-

KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

# Przegląd spraw wojskowych

**Rokowania rozbrojeniowe.** Komisja rozbrojeniowa O.N.Z., obradująca od wielu lat w Genewie bez jakiegokolwiek konkretnego rezultatu i nadal bojkotowana przez Francję, została ostatnio ponownie powiększona, tym razem o reprezentantów aż 6 państw: Holandii, Argentyny, Marokko, Pakistanu, Jugosławii i Węgier. Wystąpili oni po raz pierwszy 9 sierpnia br. na 426 posiedzeniu komisji, wygłaszając podobnie pokojowe i antyzbrojeniowe mowy, jakie od lat wygłaszają starsi członkowie komisji, liczącej obecnie już 25 delegacji. Zwiększenie komisji pociągnie za sobą nowe koszty i przedłuży dyskusje, ale rokowań z martwego punktu nie ruszy, póki Sowiety sprzeciwiają się kontroli, póki istnieje powszechna nieufność i póki O.N.Z. nie potrafi zapobiec lokalnym konfliktom zbrojnym lub przynajmniej ich szybko likwidować. Układ o nierozpowszechnianiu broni atomowych, zresztą ignorowany przez Francję i Chiny, wciąż jeszcze nie wszedł w życie, a będący na warsztacie komisji układ o „rozbrojeniu dna morskiego“ możliwy będzie tylko w razie jakiegoś pogodzenia sprzecznych projektów Waszyngtonu i Moskwy.

**Niemcy Zachodnie.** Nie ma chyba na świecie sił zbrojnych tak często omawianych, tak sprzecznie ocenianych, tak nieufnie traktowanych i tak narażonych na dywersję z zewnątrz i różnoraką obróbkę ze strony własnej prasy — jak „Bundeswehr“ zach.-niemiecka. Zwłaszcza obecnie, w okresie przedwyborczym, gdy rywalizujące partie wysuwają bardzo sprzeczne koncepcje odnośnie jej zadań, uzbrojenia i pozycji w państwie, by zdobyć głosy. Niesłabnące napaści i podkopy komunistycznej maszyny propagandowej, zwiększona (głównie wskutek wycofania się Francji i podboju Czechosłowacji) rola „Bundeswehry“ w NATO, wreszcie trudności wewnętrzne, jak duże luki w kadrze, spory na temat kierunków wychowania żołnierza i jego

pozycji w państwie itd., oczywiście, też się do wymienionych na wstępie zjawisk przyczyniają i morale podkopują. Na równi z rosnącą niewiarą w realność amerykańskiego mostu powietrznego i w niezawodność atomowego parasola atomowego.

A jednak nie wolno wartości „Bundeswehry“ jako instrumentu bojowego nie doceniać, jak nie należy też jej przeceniać. Nie ma ona jeszcze wyraźnego oblicza i nie cieszy się nawet w przybliżeniu taką popularnością, jaką zdobyła hitlerowska „Wehrmacht“ czy cesarska armia, ale mimo to i mimo innych trudności bezspornie z każdym rokiem krzepnie i technicznie się unowocześnia. Zwłaszcza że okres obcinania jej budżetu już minął, że koncern Kruppa podjął znów produkcję uzbrojenia, że podniesienie zoiidu i pensji łagodzi skutki świetnej koniunktury gospodarczej i że zagraniczne poligony nadal uzupełniają niedostateczne poligony własne. Gdy zmniejszy się niedobór kadry, wynoszący jeszcze blisko 4.000 oficerów i 30.000 podoficerów, gdy wejdzie do uzbrojenia już zamówiony sprzęt i gdy zakończy się przeprowadzana rozbudowa „Grenzschutzu“ i armii terytorialnej, wartość i pozycja „Bundeswehry“ powinny znacznie się poprawić. Zwłaszcza, igdyby z wyborów wyszły zwycięsko partie prawicowe, wypowiadające się za zachowaniem środków do przerzucania głowic czy bomb atomowych lub nawet za utworzeniem europejskiego „poolu atomowego“ oraz lansujące tworzenie — w razie mobilizacji — jednostek rezerwowych, choć szkolenie rezerwistów jest niedostateczne. Wprawdzie rośnie z każdym rokiem ilość odmawiających służby z bronią w rękę (w I półroczu br. było ich 9.000, gdy w analogicznym okresie ub. roku tylko 6.100), ale przygotowane ustawy ewolucję tę prawdopodobnie przyhamują, nie mówiąc już o tym, że nie przybrało ono masowych rozmiarów.

Na 4.200.000 poborowych roczników 1937-1950 skorzystało z tego prawa niepełna 56.000.

Wracając do sprawy nowego sprzętu uzbrojeniowego, trzeba przypomnieć, że artyleria jest już na wskrós nowoczesna, a oddziały pancerne zastąpiły już w 90% czołgi amerykańskie świetnymi czołgami niemieckimi „Leopard“. Piechota, która jeszcze jest poniekąd piętą achillesową, ma otrzymać blisko 2.200 świetnych pojazdów „Marder“, opancerzonych i gąsienicowych, w miejsce nieudanych „HS-30“, oraz 6.630 działek maszynowych o kalibrze 20 mm. Niezależnie od tego wprowadzone zostaną rakiety Wegemanna o donośności 15 kilometrów oraz ewentualnie nowe działka 155 mm o dużej donośności, przygotowane razem z przemyślem brytyjskim. Również wyposażenie wojska w helikoptery ma być znacznie zwiększone. Pionierskie środki przeprawowe i telekomunikacja są już bogate i nowoczesne. Szwankuje natomiast obrona plot.

Lotnictwo, któremu podlegają także rakiety o dużym zasięgu „Pershing“ i które pod gen. Steinhoffem znacznie podniosło swój poziom wyszkolenia, otrzyma 88 doskonałych amerykańskich „Phantomów“, już zamówionych, oraz 121 nowych samolotów łącznikowych i transportowych.

Marynarka wojenna została wzmocniona nie tylko trzema niszczytelami raketowymi, budowanymi w Ameryce i już spuszczoneymi na wodę, ale także nową serią okrętów podwodnych, dostosowanych głównie do warunków nawigacyjnych na Bałtyku, a ponadto 22 helikopterami oraz różnymi jednostkami przybrzeżnymi i wspomnianymi już działkami maszynowymi. Kage

W KSIĘGARNI SPK  
KUPI SZ KAŻDĄ  
KSIĄŻKĘ!

**Adres WYDAWNICTWA:** PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji.  
**Korespondencje** z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445).  
**Adres ADMINISTRACJI:** „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena“ — 20 rue Legendre, 75-Paris, 17-e. Tel. 924 0045, C/C/P/ Ass. E.A.C.P. en France, 6365-22 Centre Paris oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.); w BELGII: J. Korab Bzozowska-Csáky, 19, rue Amédée Lynen, apt. 57, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w SZWAJCARII: S. J. Karolus, 10 rue Ingold, CH-2500, Biel-Bienne 4; w SZWECJI: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Doplata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.



# NOTATNIK KULTURALNY

**ROCZNICE POLSKIE W RADIO BRITYJSKIM** były poniekąd echem obchodów, jakie święciło społeczeństwo emigracyjne. Dwie audycje poświęcone były powstaniu warszawskiemu. Jedna nadana była przez tzw. BBC 1, z udziałem b. uczestników powstania i oparta na ich relacjach, a drugą o podobnym charakterze nadała tzw. Niezależna Telewizja. Niezależnie od tego Polska Sekcja Radia Brytyjskiego nadała audycję, napisaną przez Helenę Żurkowską-Ostrowską pt. „Inter arma floreat musae“. Było to opowiadanie osnute na rzeczywistych zdarzeniach z ostatniego okresu powstania. 2 września br. Telewizja BBC 1 nadała godzinną audycję pt. **Story of Fighting Poland** w doskonałym opracowaniu pani Patrycji Meehan.

**SZCZEGÓLNE OŻYWIENIE RUCHU ODCZYTOWEGO** nastąpiło pod koniec pełnego sezonu londyńskiego. Odczyty te dałoby się podzielić na następujące grupy:

Do działu „**Filologia i historia**“ należałyby takie odczyty, jak prof. I. Wieniewskiego na temat „Wergiliusz i jego Eneida“, kr. dr S. Bełcha o „Badaniach czaszki św. Stanisława...“, prof. P. Skwarczyńskiego o „Epoce Reformacyjnej“ i prof. J. Jasnowskiego o „Wkładzie Polski do kultury europejskiej“.

Do „**Spraw religijnych**“ zaliczyć by należało wieczory o dr J. Mirewicza, T.J., poświęcone takim tematom, jak „**Życie zakonne w oczach świeckich**“ z udziałem red. A. Pospieszalskiego, dalej o „**Konieczności przeżyć intelektualnych katolicyzmu**“, wygłoszony w ramach kursu wiedzy religijnej, a na zakończenie cyklu o „**Cywilizacji chrześcijańskiej**“ mówił o „**Chrześcijańskim wzorze człowieka**“. Były również odczyty o Mirewicza nt. „**Czy dialog katolicyzmu z komunizmem jest możliwy?**“ oraz o „**Poszukiwaniu prawdy**“. Nadto odbyło się Spotkanie Veritasowe nt. „**Problemów religijnych współczesnej inteligencji w Polsce**“ z udziałem ks. dr Andrzeja Bardeckiego z Krakowa i pod przewodnictwem p. Zofii Mycielskiej. W ramach tychże spotkań odbył się drugi odczyt prof. P. Skwarczyńskiego nt. „**Reformacja a dzisiejsza odnowa kościoła — analogie i różnice**“.

W dziale „**Nauki**“ zanotować należy jeszcze jeden odczyt niestrudzonej prof. Anny Cięciały nt. „**Polska w polityce brytyjskiej w okresie 20-lecia**“. Wykład prof. A. Laskiewicza o „**Starości i**

śmierci w świetle biologii“ oraz dr H. Cybulskiej „**O narkotykach**“. Prof. dr E. Szczepanik mówił o „**Światowych problemach wyżywienia ludności i rozwoju rolnictwa uwypuklając stanowisko Watykanu**“. Nadto sprawom gospodarczym poświęcony był zbiorowy odczyt urządzony przez Stow. Wychowanków Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie nt. „**Sytuacja gospodarcza w PRL**“ z udziałem inż. J. Kazimierskiego, J. Krok-Paszowskiego i B. Stypińskiego. Z dziedziny nauk technicznych były wieczór dyskusyjny o „**Zanieczyszczeniu atmosfery przez silniki spalinowe**“ zagajony przez inż. J. Pioszańskiego, oraz prof. I. Kisiela z Wrocławia nt. „**Badania rozszerzania się złych gruntów pod fundamentami**“. O sprawy wojskowe zahaczył odczyt mgr. A. J. Ścibor-Rylskiego o „**Wpływie postępu nauki i techniki na strategię i taktykę lotniczą**“.

B.D.I.C

„**Sprawy literackie**“ poświęcony był wieczór urządzony przez Związek Pisarzy, na którym p. Janusz Rychlewski mówił o swoich „**Spotkaniach z tematem**“. Przewodniczył prof. W. Günther. Na wieczorze „**Kontynentów**“ prof. B. Czaykowski analizował pozycję literatury polskiej w świecie anglosaskim. Przyznano dwie nagrody literackie: jedną ufundowaną przez „**Tazab**“ (250 dolarów) otrzymał Józef Mackiewicz za „**opisy krajobrazu i przyrody północno-wschodnich ziem utraconych**“. Drugą nagrodę ufundowaną przez Jana Badianiego (50 gwinei) Jury nagrody „**Wiadomości**“ podzieliło pomiędzy Józefa Łobowskiego i Józefa Mackiewicza (po 25 gwinei). Nadto nagrodę ofiarowaną przez Fundację Lanckorońskich (100 gwinei) przyznano Piotrowi Guzemu za książkę pt. „**Stan Wyjątkowy**“ wydaną przez „**Instytut Literacki**“ w Paryżu.

J. Ostr.

## K R Z Y Ż Ó W K A N r 119/69

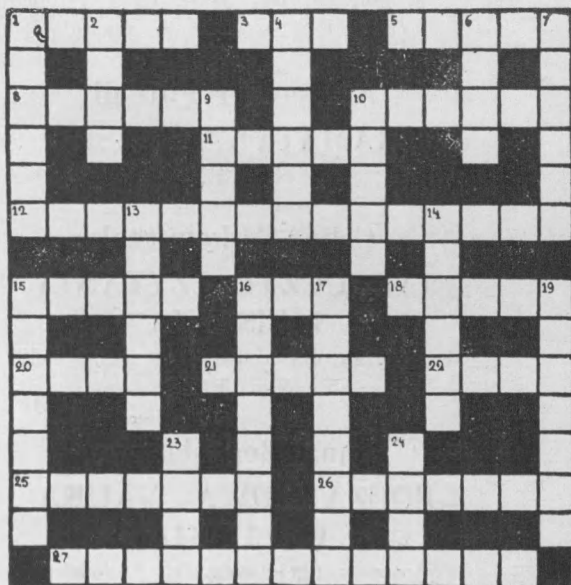
### ZNACZENIE WYRAZÓW

**Poziome:** 1) i 5) legendarny dobroczyńca ludzkości; 3) i 16) myśl twórcza; 8) Trzy od siedmiu; 10) członek sekty z Wileńszczyzny; 11) zawody w samochodzie?; 12) przysłowie, odrzucające zabobony (cztery słowa); 15) i 18) najbardziej znany miecz polski; 20) imię męskie; 21) tragedia, gdy się kobieta w nią zmieni? (wspak); 22) tylko w domu, l.mn. (wspak); 25) literacko najważniejsza między Achillesem i Agamemnonem; 26) obierzyny (wspak); 27) bardzo, bardzo biedna (dwa słowa).

**Pionowe:** 1) góra muz; 2) i 4) można tak odwołać; 4) przeszkadza jasno widzieć (wspak); 7) zniesiona w Nowym Testamencie; 9) mechaniczno-podatkowa? (wspak); 10) polska święta z okresu średniowiecza; 13) koty na niej się nie znają; 14) naczynie kuchenne! 15) dróżka; 16) warty wykorzystania (wspak); 17) wykręt; 19) śmiech z byle czego; 23) strefa (wspak); 24) hiszpańska rzeka (wspak).

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI N r 118/69

**Poziome:** 1) i 5) mimochodem, 3) i 16)



Oberon, 8) Turnus, 10) zamiar, 11) złuda, 12) Karpacza Brygada, 15) i 18) mario-  
netka, 20) tabu, 21) czart, 22) Juda, 25)  
sobótki, 26) nieboga, 27) kozioł ofiarny.

**Pionowe:** 1) mętnik, 2) i 6) marudzić,  
4) Boruta, 7) maruda, 9) szach, 10) za-  
dra, 13) psikus, 14) Grecja, 15) Mateusz,  
16) rozdział, 17) fanfaron (wspak), 19)  
kaskada (wspak), 23) stoi, 24) cela.

## JÓZEFA MEKARSKA WĘDRÓWKA PO ZIEMIACH WSCHODNICH RZECZYPOSPOLITEJ

Przewodnik serdeczny po Wileńszczyźnie, Polesiu, Wołyniu, Podolu,  
Podkarpaciu. — Cena 16/6, dol. 2.50, F. 15.00.

Do nabycia: w Księgarni SPK — 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7.

# PODRĘCZNIKI dla szkół przedmiotów ojczystrych

Jadwiga Otwinowska

## UCZMY SIĘ PISAĆ Cz. I

Spółgłoski twarde, miękkie i zmiękczone.  
Wydawn. PMS — Willesden Green

Jadwiga Otwinowska

## UCZMY SIĘ PISAĆ Cz. II

Spółgłoski dźwięczne i bezdźwięczne. 95 ćwiczeń,  
10 tekstów prozy i wierszy do przepisywania  
i dyktanda. Wyd. PMS

Jadwiga Otwinowska

## UCZMY SIĘ PISAĆ Cz. III

ó-u, ę, ą, em, en, om. Wyd. Gryf Publications.  
(Cz. IV i ostatnia w druku)

Aleksander Patejdl

## GRAMATYKA POLSKA

Wyd. PMS

Celina Mikołajczak

## JAK UCZYĆ CZYTANIA I PISANIA

Książeczka dla rodziców i nauczycieli.  
Wyd. PMS

Anna Bogusławska

## POCZĄTKOWA NAUKA CZYTANIA

Podręcznik dla nauczycieli i rodziców.  
Wyd. Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego  
Zagranicą

Maria Goławska

## WYPISY NA KL. V

Książka dla dzieci w wieku lat 12—13.  
Wyd. PMS

Barbara Krawczyk

## UCZMY SIĘ PO POLSKU (Let's learn Polish)

Cz. I i II

Podręcznik do nauki dzieci nie umiejących  
po polsku. Wyd. PMS.  
(Cz. III i ostatnia w przygotowaniu)

Anna Bogusławska

## U BABCI I DZIADKA

Książeczka z ćwiczeniami dla dzieci  
przerabiających końcową część  
elementarza.

Wyd. Gryf Publications

Jadwiga Otwinowska

## UMIEM JUŻ CZYTAĆ

Książeczka po-elementarzowa. Wyd. PMS

Jadwiga Otwinowska

## DZIECI Z BIAŁEGO DOMKU

Czytanki dla kl. II szkół ojczystrych.  
Wyd. PMS

Jadwiga Otwinowska

## MOJA CZYTANKA

Podręcznik do nauki j. polskiego dla kl. III  
szkół ojczystrych. Wyd. PMS

Jadwiga Otwinowska

## CZYTANKA NA KL. IV

Podręcznik do nauki j. polskiego dla dzieci  
od lat 10—12. Wyd. PMS

Jadwiga Otwinowska

## W KRĘGU DZIELNOŚCI I PRACY

Czytanka dla młodzieży szkół ojczystrych na kl. VI.  
Wyd. PMS

Do nabycia:

**KSIĘGARNIA S. P. K.** 20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.